

W Warszawie dn. 10 października 1931r. 1zł. 50gr.

BŁUSZCZ

Duoblet do Sygna
35031 III

Włose



CHCESZ OTRZYMAĆ POSADĘ?

MUSISZ
UKOŃCZYĆ

KURSY FACHOWE

KORRESPONDENCYJNE im. SEKUŁOWICZA

Warszawa, Żórawia 42.

WYUCZAJĄ LISTOWNIE: buchalterji, rachunkowości, koresponden-
cji, stenografji, handlu, prawa, kaligrafji, języków obcych, daktylogra-
fji, pisowni, gramatyki polskiej, ekonomji.

ŻĄDAJĄCE PROSPEKTÓW.

587

Dużą pomocą w urozmaiceniu jadłospisu
będzie dla każdej do-
brej gospodyni książka
p. t.

Potrawy z cieleciny

Cena 1 zł. 50 gr.

z przes. poczt. 1 zł. 80 gr.

Wyd.

„Życie Praktyczne“

Do nabycia w Tow. Wyd. „Bluszcz“
Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Nakładem Towarzystwa Wydawniczego
„BLUSZCZ“ ukazała się nowa książka
„Życia Praktycznego“ p. t.

WNĘTRZE DOMU POLSKIEGO

Obejmuje ona rozdziały następujące:

O architekturze polskiej słów kilka.
Dwory polskie i ich wnętrza. Wnętrza
pałaców. Wnętrza domów miejskich.
Wnętrza Polski porozbiorowej. Polska
sztuka ludowa. Kraina tkanin. Porce-
lana i inne wyroby ceramiczne. Jak
ma być współczesne mieszkanie.
Wnętrza „Ładu“.

Cena 1 zł. 50 gr. z przes. poczt. 1 zł. 80 gr.

Zamawiać i nabywać można w Tow. Wyd. „BLUSZCZ“, War-
szawa, Plac Zamkowy 9. Konto P. K. O. Warszawa Nr. 170.

Dla JADWIGI, TERE
i IRENY najmilszych
upominkiem imienin
jest dobra książka.

*Polecamy następujące
ciekawe i piękne
wydawnictwa:*

MARJA GROSSEK-KORYCKA

ŚWIAT KOBIECY

Cena 7 zł., z przes. poczt. 7 zł. 50 gr.

DR. J. ŚWITALSKA

MÓJ SYSTEM PIĘKNOŚCI I ZDROWIA

Cena w oprawie 15 zł., z przes. poczt. 16 zł.

DR. J. ŚWITALSKA

PIĘKNOŚĆ I ZDROWIE W ŻYCIU KOBIETY

HIGJENA KOSMETYCZNA

Cena 5 zł., z przes. poczt. 5 zł. 50 gr.

DR. J. ŚWITALSKA

KOBIETA NOWOCZESNA

PORADNIK DLA MŁODYCH MEŻATEK

Cena 6 zł., z przes. poczt. 7 zł.

Do nabycia w Tow. Wyd. „Bluszcz“—Warsza-
wa, Plac Zamkowy 9. Konto P. K. O. 13.555.

Za zaliczeniem nie wysyłamy.

5.12.21

1.10.21 462/1

BLUSZCZ

Spółeczo-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety

ROK LXIV

WARSZAWA, DNIA 10 PAŹDZIERNIKA 1931 ROKU

NR. 41.

TREŚĆ NUMERU: Pogotowie kulturalne społeczeństwa — *Janina Strzelecka*. Nie płakać — *M. Beniśławska*. Zakładanie stowarzyszeń — *Zofja Dzieciolowska-Brykalska*. Poezje: „Zakochani“ — *Zofja Rościszewska*. Zwycięstwo (c. d.) — *Zofja Sikorska*. Dziewczeta przed sądem — *Wanda Woytowicz-Grabińska*. W Paryskiej Sofjówce — *Aura Wyleżyńska*. Wystawa w Szkole Sztuk Pięknych im. W. Gersona — *Zofja Sk. Stankiewicz*. Kobieta w świecie i w domu. Nasza Mównica. Kłopoty prababek (dok.) — *Zofja Miszewska*. Myśli na spacerze — *N. J. Bez służącej* — *Wanda Dobrzańska*. Zimowanie bananów w mieszkaniu — *Stan. Schönfeld*. Budynie, sufloty, zapiekanki — *Pani Elżbieta*. Obiady dla pracującej inteligencji — *Pani Elżbieta*. Przepisy gospodarskie — *Pani Elżbieta*. Dodatek „Mody i roboty“. Arkusz wzorów.

POGOTOWIE KULTURALNE SPOŁECZEŃSTWA

Stanęliśmy wobec oczywistego faktu pomniejszenia walorów kultury, nauki i sztuki zarówno ze strony sfer decydujących, jak i ze strony społeczeństwa. Zdegradowanie departamentu sztuki do kategorii zwykłego wydziału, co tembardziej nasuwa smętne refleksje, że istniało przecież kiedyś Ministerstwo Sztuki, czyli, że dokonała się ewolucja wybitnie in minus; zredukowanie Funduszu Kultury Narodowej z sumy ongi siedmiu milionów do skromnej sumy jednego miliona (jednego miliona!) na wszelkiego rodzaju wydawnictwa, subsydja, ochronę zabytków, zakup arcydzieł i t. d.; cofnięcie prawie wszystkich subwencyj placówkom kulturalno-oświatowym, cofnięcie subwencyj teatrom, które, zwłaszcza na Kresach, były niekiedy jedynymi ośrodkami, skąd promieniowała, w artystyczne formy ujęta, polska racja stanu — wszystko to nasuwa konieczność zorganizowania mądrej i celowej samoobrony ze strony społeczeństwa, samoobrony, ujętej w formy planowej akcji, mającej na celu stworzenie pewnego ekwiwalentu, któryby jeżeli nie usunął, to złagodził przynajmniej w pewnym stopniu rezultaty tych wszystkich redukcji, dokonanych w imię nieubłaganych konieczności budżetowych.

Nie chciałabym rozwodzić się zbyt długo nad ogromem znaczenia wychowawczego owych trzech dziedzin życia: sztuki, kultury i nauki — przypomnę tylko, że, jeżeli mowa o sztuce, to zawdzięczamy jej w ogromnym stopniu zachowanie bytu narodowego. W niczem tak, jak w strofach Słowackiego, czy Wyspiańskiego, w niczem tak, jak w polonezach Szopena, jak w płótnach Chełmońskiego, czy Weyssenhofa — nie wyrażała się synteza tego, co było duszą, istotą, nastrojem polskości.

W niczem tak, jak w powieściach Sienkiewicza, Prusa, Żeromskiego nie wyrażały się wszelkie pozytywne i negatywne kwintesencje, które stwarzały pewne nastawienia w stosunku do najżywotniejszych zagadnień, uczyły myśleć, kazały działać, walczyć i przetrwać.

Odrzuciwszy całą usypiającą niekiedy „derwidowość“ poezji romantycznej, musimy stwierdzić, że ona to rzuciła najrealniejsze hasło polityczne: mierzenia sił na zamiary; owej sztuce zawdzięczamy, że, kiedy nadeszła chwila, znaleźli się ci, co słowa nieśmiertelnego psalmu, słowa: „czas uderzyć w czynów stall“ — przetransponowali na prawdę, najbardziej żywą i realną.

I dziwna rzecz! Żadne „czynniki“ nie opiekowały się wówczas ani nauką, ani kulturą, ani sztuką; wprost przeciwnie: prześladowały, zwalczały w najbardziej bezwzględny sposób, a mimo to rozwijały się one potężnie, wywoływały niezmiernie żywy oddźwięk w społeczeństwie, były źródłem iluż natchnień, iluż zachwyty, ilu imperatywów kategoriycznych, decydujących o sprawach wielkiej wagi!

I dlatego, kiedy zastanawiam się nad zmierzchem etatyzmu w tych dziedzinach, to raczej mniej boleję nad faktem zdewaloryzowania ich od góry, aniżeli od dołu, t. j. ze strony samego społeczeństwa. Zastanawiam się również, czy owe posunięcia od góry nie były wynikiem pewnej ukrytej logiki rzeczy: zmniejszenie świadczeń na to wszystko, wobec czego społeczeństwo obojętnie przechodzi oddawna, zerwanie z pozorami, w imię których „wypadało“ stwarzać pewne raczej fikcje, aniżeli regulować mądrze, umiejętnie formy reagowania na wszelkie przejawy twór-



Cz 434/1931

czości, wywoływać pozytywne nastawienia psychiczne w stosunku do spraw nauki, kultury.

Na dowód powyższej, być może — hipotezy o stopniowym usuwaniu się sfer rządzących od obowiązku ingerowania w tych sprawach, wobec których społeczeństwo zachowuje się całkiem biernie, a nawet obojętnie, możnaby przytoczyć fakt, że na odcinku, na którym inicjatywa rządowa spotyka się z ogromną aktywnością ze strony społeczeństwa — np. w dziedzinie sportu — poparcie moralne i materialne jest całkowite i tutaj efekty kryzysu ogólnego uwidoczniają się w znacznie mniejszym stopniu. Siłą faktu bywa tak, że państwo, jako organizm żywy i życiodajny, ekspansuje swą energję tam, gdzie znajduje grunt podatny; na glebę jałową żałuje posiewu i słusznie.

Powie ktoś, że w czasie katastrofalnej nędzy trudno myśleć o tem, co nie zaspokaja wyłącznie głodu fizycznego, trudno wogóle zorjentować się, jakby ta inicjatywa społeczna miała wyglądać, a jeżeli powstałaby nawet, to może narazie tylko w formie pięknych projektów, poczem zabrakłoby wkrótce energii i wytrzymałości.

Otóż to właśnie: energii. Wielkie słowo, wielka rzecz, marnowana przez ludzi z niesłychaną rozrzutnością, od drobnych szczegółów począwszy, na sprawach doniosłej wagi skończywszy.

Wszystkim, którzy tak dziś biadają, którzy usuwają się od wszelkiej pracy ratowniczej w najszerszym tego słowa znaczeniu, rzuciłabym właśnie ten zarzut marnowania energii.

Gdyby dało się przewaloryzować miliony skarg, krytyk, narzekań, gdyby zamiast inwencji w kierunku ujemnym, usiłowano ją zwracać na drogę rozumnej walki z rezultatami kryzysu w każdej dziedzinie, a więc w dziedzinie wartości, jakie składają się na pojęcie sztuki, czy kultury — sądzę, że kryzys ten przybrałby znacznie łagodniejsze formy. Twierdzę również, że nigdy może nie była odpowiedniejsza chwila, aniżeli dzisiaj, aby ze strony społeczeństwa wyszła inicjatywa propagandy kulturalno-wychowawczej, propagandy piękna i sztuki.

Powiedział ktoś, że nie może być mowy o kulturze kraju tam, gdzie w pobliżu cudnego renesansowego pałacu widnieją w swej przygnębiającej brzydocie i nagości t. zw. czworaki, a tuż za ogrodzeniem parku o rozśpiewanych, opalizujących fontannach, cuchnąca sadzawka zatruwa powietrze. I nie może być mowy o kulturze tam, gdzie siedziby setek tysięcy są to raczej legowiska, a wszelakie sienie, podwórza, klatki schodowe zieją ohydą brudu i niechlujstwem. Bowiem czystość jest pojęciem podstawowym, jeżeli chodzi o kulturę.

Nikt może tak, jak Żeromski, nie dostrzegał i nie zobrazował owego tragizmu zewnętrzności ludzkiego bytowania, owej przerażającej zewnętrzności polskich wsi, miasteczek, miast, „Obrzydłówek“ wszelakich, gdzie domy z podbijanym, brudnym tynkiem przy-

pominają, zda się, ciało, wrzodami okryte, a wnętrza ich są odbiciem doli ludzkiej, jej szarzyzny i martwo-ty, zwłaszcza — beznadziejności.

A jakież to akord zakończył arcysymfonję twórczości autora „Popiołów?“ co było jego testamentem, jego ostatnią wolą, rzuconą, jako święty nakaz, wolnej ojczyźnie? Szklane domy, jasne, widne szklane domy, symbol rozśłonecznienia ludzkiego życia.

Zaczęto je już budować. Kiedy jestem w przedszkolu, zwłaszcza na prowincji, kiedy widzę na białutkich ścianach łowickie wycinanki, w oknach złote, różowe, białe kwiaty, zdaje mi się, że praca rozpoczęta, zdaje mi się, że piękno owych wnętrz — to propaganda kultury; reprodukcje obrazów Stryjeńskiej, Skoczyłasa na ścianach wielu z tych przedszkoli, seminarjów, umiejętnie prowadzone chóry, zabawy rytmiczne — to propaganda sztuki.

Przecież nie stanęło życie, nie zamarło wszystko. Buduje się jednak, wznosi pomniki. Jakie brzydkie niekiedy! Czyż znowu nie ze strony społeczeństwa winna wyjść inicjatywa, aby prawdziwym artystom powierzano pracę? Piękno, zakute w bryle z kamienia, zatrzymuje wzrok, każe się zastanowić, zachwycić, odwraca myśl od rzeczy złych.

Gdyby tak dziś pomyślał ktoś o zorganizowaniu pięknych widowisk o charakterze rewjowym, na które składałyby się inscenizacje pieśni ludowych, taniec, muzyka, żywe słowo, i gdyby to wszystko było przepojone humorem, śmiechem — iluż ludzi, co przysłoby na to, zapomniałoby na te parę godzin o niedoli! i nietylko to: może za pośrednictwem sztuki wydobyliby z serc i z dusz swoich siły do przetrwania, może powstałyby w nich dobre zamiary. Sztuka bowiem — to wielka siła — może być strasznym przeciwnikiem i potężnym sojusznikiem. W chwili dzisiejszej rosnącego rozgoryczenia nie powinniśmy tej prawdy lekceważyć.

I znowu, jakież pole do inicjatywy ze strony społeczeństwa, co za cudowna propaganda teatru, który istniał dotąd tylko dla uprzywilejowanych! Czem może się stać wpływ teatru dla masy — to wiemy chyba my, którzy lepsze czasy tego teatru pamiętamy.

Powie ktoś, że społeczeństwo nie ma pieniędzy, że teatr — to luksus. Pó pierwsze nie wierzę tak niezłomnie w to, że społeczeństwo na żadne „rozrywki“ pieniędzy nie wydaje, nawet w dzisiejszych czasach. Wszelkie uroczystości, zawody, czy mecze sportowe są przepelnione, płacą za bilety czasem bardzo wysokie ceny. Zwłaszcza młodzież ze wszystkich warstw tłumnie na te imprezy uczęszcza.

I czyż znowu, wracając do konieczności ingerencji społeczeństwa w sprawie budzenia zamięłowania do wszystkiego, co się nazywa sztuką, czyż nie najwyższy czas zastanowić się nad tą przewagą zainteresowań w dziedzinie sportu? Zastanowić się i zacząć działać. Od rodziny i szkoły począwszy, tu stosować tam domagać się „równouprawnienia“ sztuki, która

wszędzie u nas ma charakter czegoś nadprogramowego: może być, ale i nikt się nie zmartwi, jak jej nie będzie. Przecież sztuka — to cudowny środek kształcenia uczuć młodzieży, kształcenia jej woli, spostrzegawczości, wynalazczości nawet.

Dlaczego tyle czasu i pracy poświęcamy wyłącznie na kształcenie umysłu i logiki myślenia? Czyż nie najwyższy czas, aby opinia społeczna zabrała głos w sprawie zbliżenia dzisiejszej szkoły do życia, właśnie przez wprowadzenie do niej pierwiastka sztuki? Nie w formie przenudnej częstokroć tylko lekcji śpiewu i rysunków. Rytmika we wszystkich klasach, udział instruktorów-artystów w organizowaniu uroczystości szkolnych, obchodów, świąt samopomocy, pochodów, dezyderaty w sprawie regulowania i planowego uczęszczania dzieci i młodzieży do kin na odpowiednie programy, do teatrów, za grosze oczywiście.

Ileż jest do zrobienia w dziedzinie upiększenia naszego życia na ten najpowszedniejszy dzień codzienny! Tyle jeszcze szarości! Koszarowe domy w wielkich miastach o szkaradnej przeważnie architekturze; zapadłe chaty po wsiach, niekiedy na połaciach całych województw bez jednego ogródka kwiatowego, bez jednego drzewka; tragiczna wprost brzydota i brud na przedmieściach, wszędzie, zwłaszcza stolicy.

Oczywiście, zburzyć tego nie można, ani przebudować. Conajwyżej otynkować, pobielić. Można w drewnianych skrzynkach, przy każdym oknie i przy każdym balkonie zasadzić kwiaty. To na początek. Niechże zaśmieją się do nas gorącą, cudną barwą purpurowe pelargonje, jaskrawe, groteskowe fuksje; niechaj rozlocą się przed każdą chatą pomarańczowe nagietki, płomienne nasturcje! I to będzie właśnie to źródło radości najprostsze, najpierwsze.

Idzie na zimę? To nie, zawczasu o tem pomyśleć, składać grosze na skrzynki do kwiatów, robić te skrzynki w domu, dla siebie i na obstalunek; zwrócić się do fachowców-ogrodników z prośbą o odczyty, czy pogadanki, już teraz i do wiosny mieć robotę przedwstępną przygotowaną.

Zamiast marnować tyle czasu na skargi i biadania, odwrócić oczy od zatrutego źródła pesymizmu. Organizować pracę! Niech przeniknie do świadomości pewność, że owo proste piękno otoczenia, choćby tylko czysta podłoga, czysto wymyte okno, barwna plama ludowej tkaniny, zamiast obrzydliwej zagranicznej „makaty“, wycinanka łowicka zamiast oleodruku, że owa elementarna higjena i estetyka otoczenia — to pierwszy krok do propagandy właśnie twórczych walorów sztuki. To wywołanie uśmiechu na widok kwiatów dopomoże do zachowania pogodnego nastroju.

Przecież wiemy z doświadczenia, jak bardzo przygnębiająco działa na nas brzydota, bezład. Skłaniamy się, żyjąc w ich atmosferze, przed koniecznością tego, co nam, wbrew nam samym, dzień codzienny narzuca. I dlatego budzenie wstrętu do tej rzeczywistości w imię konieczności jej upiększenia, rozsłonecznienia, ujęte w ramy systematycznej, konsekwentnej akcji, mającej na celu uświadomienie najszerszym masom znaczenia tych elementarnych wartości piękna — stanie się bezwarunkowo pierwszym etapem na drodze do zmiany psychiki społeczeństwa, jego stosunku do piękna, kultury i sztuki.

Wtedy ingerencja ze strony czynników będzie inna, będzie żywa, twórcza; będzie nie formalnym i biurokratycznym stosunkiem do sprawy, ale stałym odzwaniem na żywe, istotne zapotrzebowania społeczeństwa.

Janina Strzelecka.

NIE PŁAKAĆ

Placz jest kapitulacją. Jest wyznaniem niemocy. Jest wyciągnięciem ręki po jałmużnę litości. To też przez szereg wieków, kiedy kobieta uważana była i sama się uważała za istotę poddaną woli męża, a mąż — za pana stworzenia z kobietą włącznie — mężczyzna bronił się i żądał, a kobieta błagała, przeciwstawiając przemoc fizycznej, umysłowej, moralnej — łzy.

Mężczyzna wstydził się łez. Kobieta niekiedy kokietowała łzami, nadużywała ich, lubowała się nimi.

Dziś, z upadkiem legendy o „płci słabej“, dziś, kiedy niema na świecie miejsca dla słabych, kiedy „wdzięk słabości“ nie działa nawet na przeciętną, inaczej nastawioną w zażartej walce o byt, psychikę mężczyzny — należałoby na ów przywilej łez, tak, jak na wiele przywilejów niewieścich, spojrzeć trzeźwym, krytycznym okiem.

Kobieta dzisiejsza płacze mniej, ale jeszcze dale-

ko jej pod tym względem do równości z mężczyzną, o którą to równość tak nieraz bezkrytycznie ubiegają się emancypantki ujemnego typu, widząc ideał emancypacji nie w równouprawnieniu, nie w otwarciu na oścież dróg do rozwoju potencyj swojej płci, tylko w upodobnieniu się do mężczyzny tam nawet, gdzie wymagałoby to obniżenia poziomu własnej wartości. Dzisiejsza kobieta zresztą, może dlatego, że się maluje i pudruje, zarzuciła już jeden z gatunków płaczu — z tych małowartościowych: nie kokietuje łzami. Płakać (szczerze czy nieszczerze) bez szpetnego grymasu, bez zaczerwienienia nosa i oczu, jest rzeczą bardzo trudną; płakać bez smug na upudrowanych policzkach, bez uszkodzenia sztucznej cery — jest zupełnie niepodobieństwem. Łzy więc, obrachowane na efekt, straciły rację bytu: stroić się w nie można, a coś sobie niemi wymadlać — niema potrzeby.

że jednak nawyki psychiczne są niezmiernie uparte i nie ustępują tak łatwo, raczej przeżywają niezachwianie własną swą rację bytu — łzy — te niewieście — nie ustąpiły także, tylko się schowały.

Kobieta nie płacze dla mężczyzny — ale płacze dla siebie samej, niekiedy dałoby się powiedzieć: dla własnej przyjemności.

Niema stuprocentowej kobiety (tak jak i stuprocentowego mężczyzny); kobieta o małym procencie kobiecości w swej psychice (pokrywa się to z kobietą mało płaczącą) gotowa mi zaprzeczyć: nie płacze się przecież na zawołanie!

O, owszem! płacze się tak, nabiera się w tem wpraw i łzy lecą potokiem, jak za odkręceniem kranu. Tak płaczą dzieci, wychowywane sentymentalnie i świadome efektu łez; tak płakały nasze prababki i babki wobec „lubego“ zamłodu, a w dojrzalszych leciech nad księgą do nabożeństwa poważnych rozmiarów, gdzie się nawet spotykało uwagi, wśród tekstu modlitwy, w rodzaju: „tu uroń łzę serdeczną i westchnij do Boga“. Zatem można — w pewnych granicach — odkręcić, a zatem i zakręcić kurek od łez.

Jestem głęboko przekonana, że niezmiernie szkodliwa jest zbyt pochopność właśnie w odkręcaniu go. Wprawdzie utarło się mniemanie, że „łzy ulgę przynoszą“; sądzę jednak, że przynoszą one ulgę analogiczną, jaką się otrzymywało zapomocą puszczenia krwi: silne osłabienie organizmu i prostracja — bezczucie. Ból wskutek tego istotnie osłabił, lub całkiem się zatracił, ale za nazbyt drogą cenę. Uczucie smutku, przygnębienia, żalu, bezsilnej złości i roztkliwienia nad samym sobą, jak wogóle każde uczucie, traci może istotnie na intensywności przez samo uzewnętrznienie się, przez to właśnie i łzy mogą przynosić ulgę, ale i one — właśnie tak, jak puszczenie krwi w starej medycynie, przynoszą osłabienie — w tym wypadku psychiczne — zabijają możność reakcji celowej, czynnej, dzielnej. I przez to właśnie łzy są demoralizujące, a lekkomyślne folgowanie skłonności do płaczu jest ciężkim grzechem przeciwko własnej psychice.

W imię tedy szkodliwości łez, jako czynnika, osłabiającego wolę i zdrowy pęd do celowej samoobro-

ny, rozsądek nakazuje opanowanie się i zupełne wygnanie łez przedewszystkiem z żalu (krzywda istotna lub urojona), z rozrzewnienia nad rzeczywistością, albo rzekomą niedolą własną lub cudzą, z melancholijnego nastroju — „sama nie wiem, czemu...“, ze złości i urazy i t. d. i t. p.

Uczucia natury ujemnej dadzą się znacznie lepiej wyeliminować lub osłabić przez reakcję rozsądku, niż przez zalewanie się łzami; gdy zaś chodzi o piękne w założeniu i cenne współczucie niedoli bliźniego, to należy zdać sobie sprawę, że tu niezmiernie często sentymentalizm wykupuje się tanią „łzą współczucia“ od obowiązku czynnej pomocy: popłakaliśmy nad nieszczęśliwym i już w opinii własnej, a niekiedy i cudzej, zyskaliśmy miano tkliwego, współczującego serca — to wystarczy! A przecież każde uczucie ma w sobie i mieć powinno tendencję do wcielenia się w czyn, do wyładowania swej energii.

Są jednak, nie da się zaprzeczyć, momenty, sytuacje — gdzie, chcąc, nie chcąc, jesteśmy zniewoleni przyznać się do zupełnej niemocy: absolutna przewaga siły nad sprawiedliwością lub miłosierdziem, — wreszcie: śmierć. Tak. Nad umarłymi nawet mężczyzna płacze. Nie zwalczajmy tych łez wielkiej rozpacz, zostawmy im ich prawo bytu.

Tylko niech powie sobie dziś kobieta silna, rozumna, życiowo mądra: łzy — to kapitulacja, łzy to nie uczucie samo, tylko jego objaw; łzy — to nie spłacenie długu: to raczej zobowiązanie się do reakcji celowej i czynnej. Nawet wobec umarłych, których opłakujemy — przez czynne słuźenie ich ideałom, przez wcielenie w życie własnem tego, czego oni nie zdołali w piękny czyn zamienić — stać się możemy ich nieśmiertelnością, ich prawnymi dziedzicami.

A zatem ogłośmy hasło przewartościowania łez w kobiecej psychice. Dawniej już chłopakowi z przedszkola mówiło się: nie płacz! jesteś mężczyzną! — dzię tę ambicję poskramiania łez przenieśmy i na dziewczynki; im też przyda się w życiu element tężyzny, pojęcie od dziecka wrosłe w duszę, że siła afektu jest potężnym motorem, którego nie godzi się rozpraszać na bezwartościowe błahostki.

M. Beniśławska.

ZAKŁADANIE STOWARZYSZEŃ

II. STATUT.

Czem dla Państwa konstytucja, tem dla stowarzyszenia jest statut, czyli ustawa. Określa on cele i zadania zrzeszenia, teren działania, prawa i obowiązki członków, skład władz i t. d. Bez statutu każde zrzeszenie stałoby na chwiejnych podstawach woli, chęci i wartości intelektualnych jednostki lub jednostek. Statut jednostkę krępuje, narzuca jej pewną linię postępowania, nie pozwala na wybujały indywi-

dualizm. Zrzeszenie mogłoby się obejść bez statutu tylko w wypadku, gdyby się oparło na jednostce, lub jednostkach, bardzo zbliżonych do ideału.

Statut — wyraz pochodzenia łacińskiego — oznacza coś trwałego, stałego. W istocie rzeczy statut może być zmieniany, ale nie dowolnie, a w sposób ściśle określony (Walne Zgromadzenie), a przez to samo utrudniony.

Poszczególne punkty statutu noszą nazwę artykułów lub paragrafów, tworząc rozdziały. Podstawowymi rozdziałami statutu są następujące: 1) Nazwa i siedziba. 2) Zadania. 3) Członkowie. 4) Władze. 5) Fundusze. 6) Likwidacja.

I. *Nazwa* powinna być ściśle związana (co nie jest zresztą konieczne) z celem stowarzyszenia, np.: Liga samowystarczalności gospodarczej, Liga Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, Związek Pracowników Umysłowych i t. p.

Siedziba musi być w statucie określona, jak również teren działania: czy to cała Rzeczpospolita, czy miasto, czy grupa miast.

II. *Zadania* stowarzyszenia są w ściślejszej zależności od rodzaju stowarzyszenia, trudno byłoby dawać jakiś wzór. Może to być propaganda, pouczanie, uświadamianie, popieranie, prowadzenie doświadczeń, samopomoc, zakładanie szkół, urządzenie kursów, opieka nad kimś czy nad czemś, organizowanie życia towarzyskiego, wycieczek i t. p.

III. *Członkowie*. Członkiem zasadniczo może być — jak to się określa — „osoba fizyczna i prawna“ po podpisaniu deklaracji i uiszczeniu opłat. Dotyczy to członków zwyczajnych, czyli *rzeczywistych*. Członków *honorowych* mianuje Walne Zgromadzenie. Członkami popierającymi mogą być osoby, które wpłacą jednorazowo lub ratami pewną (określoną) kwotę. Ostatni artykuł powinien zastrzegać, że członek, działający na szkodę stowarzyszenia, lub niewypełniający zobowiązań, może być usunięty.

IV. *Władze* zasadnicze tworzą: Walne Zgromadzenie, Zarząd i Komisja Rewizyjna. W spółkach finansowych, w pewnych zrzeszeniach istnieje jeszcze Rada. Statut musi ściśle określać kompetencje i zakres działania każdej władzy.

Walne Zgromadzenie jest władzą najwyższą, może być zwyczajne i nadzwyczajne. Zwyczajne odbywa się w terminie, statutem przewidzianym, raz do roku lub częściej; zwołuje je Zarząd, przewodniczy osoba wybrana, porządek dzienny jest statutowo przewidziany, a więc, np.: 1) przyjęcie sprawozdań Zarządu i Komisji Rewizyjnej; 2) wybory nowych władz; 3) uchwalenie zmian w statucie i rozpatrzenie innych wniosków. Wszelkie uchwały zapadają zwykłą większością głosów (t. j. wystarcza, gdy 1 głos przeważa); jeżeli ilość głosów równa, decyduje przewodniczący.

Walne Zgromadzenie Nadzwyczajne zwołuje Zarząd na skutek żądania: 1) określonej (np. $\frac{1}{3}$) ilości członków, 2) Komisji Rewizyjnej, 3) określonej ilości (np. $\frac{2}{3}$) członków Zarządu, w terminie 2 — 4 tygodniowym od dnia otrzymania zgłoszenia.

Zarząd, wybierany przez Zwyczajne Walne Zgromadzenie na przeciąg określonego czasu (najczęściej 1 rok), składa się zawsze z nieparzystej ilości członków, w liczbie najmniej 3-ch (prezes, skarbnik, sekretarz). Jeżeli liczba członków Zarządu jest większa (5, 7 lub 9), to każdy z urzędów ma swego zastępcę.

Wybór prezesa może się odbyć oddzielnie, lub też razem z pozostałymi członkami Zarządu, którzy go z pośród siebie wybierają. Zarząd może posiadać prawo dobierania członków dla różnych czynności.

Komisja Rewizyjna składa się z 3 — 5-ciu członków, wybranych jednocześnie z Zarządem. Celem jej jest kontrola Zarządu (wcale niewyłącznie kasowa).

V. *Fundusze* stowarzyszenie czerpie ze składek, z opłat członków popierających, z ofiar i zbiórek (jeśli stow. ma charakter charytatywny), z subwencji, z dochodów niestałych, z wydawnictw, odczytów, imprez. Wysokość składki członkowskiej może być statutem przewidziana, lub też oznaczona przez Walne Zgromadzenie.

VI. *Likwidacja* może nastąpić na skutek uchwały Walnego Zgrom. likwidacyjnego zwykle nie prostą większością głosów, a przynajmniej $\frac{2}{3}$ obecnych. Zebranie likwidacyjne nastąpić musi na skutek żądania: 1) zarządu, 2) określonej liczby członków.

Przy opracowywaniu statutu należy starannie przestrzegać przyjętych i obowiązujących form, celem uniknięcia niezatwierdzenia go przez władze, lub też całego szeregu poprawek. Powyżej podałam szkielec, ramy przeciętnego statutu. Odrębność jednej ustawy od drugiej polega na tem, co w te ramy wstawimy, co znów zależy od rodzaju stowarzyszenia i organizatorów. Opracowany statut powinien być poddany dyskusji i ewent. uchwale (o ile nie jest to statut narzucony, jak to się dzieje przy tworzeniu oddziałów) na Zebraniu Organizacyjnym, poczem przedstawiony odnośnym władzom do zalegalizowania.

Życie nie stoi, a płynie i to czasem nawet z zawrotną szybkością. Dlatego pożądane jest, aby statut co czas jakiś był poddany rewizji i odpowiednio korygowany lub uzupełniany. Uniknie się w ten sposób różnych anachronizmów w życiu społecznym. O ile życie pobiegło dalej, niż sięgnąć mogą zmiany w statucie, pozostaje tylko likwidacja stowarzyszenia, jeżeli nie ma ono stać się zakałą do chwili, aż umrze śmiercią naturalną.

Konieczne jest, aby statut był przez władze stowarzyszenia skrupulatnie przestrzegany i bezapelacyjnie członkom do przestrzegania narzucony. Najczęstsze przekroczenia członków dotyczą uczęszczania na zebrania i opłacania składek, czyli dwóch rzeczy podstawowych dla rozwoju stowarzyszenia. Jeżeli mówię „rzeczy podstawowe“, to bynajmniej nie uważam ich — jak to czynią niektóre zrzeszenia — za alfę i omegę poczynań zrzeszonych: jest to tylko podstawa, na której wszystko się opiera, cała realna praca.

Na zakończenie dodać muszę, że Województwo, względnie Komisarjat Rządu w Warszawie, musi być informowany o każdej zmianie statutu, adresu i składu władz. Wszelkie przekroczenia statutu mogą wywołać interwencję władz administracyjnych, ewentualnie nawet rozwiązanie stowarzyszenia.

Zofja Dzieciolowska-Brykalska

ZOFJA ROSCISZEWSKA.

ZAKOCHANI

Noce były słowikowe,
Ale nie słyszeli słowików —
Szeptem rwanym drżały ich rozmowy,
Serca były głośniejsze od krzyku...

Noce były księżycowe,
Ale nie widzieli miesiąca...
Jak księżyc w pierścień — skuliła ich w okowy
Miłość pałaca.



ZWYCIĘSTWO

III.

— Zamoś z lewej, ja z prawej zachodzimy i już przecinamy im drogę... — usłyszała na schodach, wracając wczesnym rankiem z kąpieli z mokrym ręcznikiem, przewieszonym przez ramię.

W małej jadalni smuga słoneczna padała jaskrawym prostokątem na śnieżny obrus i rozdzielala ciemne głowy dwóch braci pasem wirujących w powietrzu złotych pyłków. Różowa i błękitna Elunia unosiła się wokół stołu z dzbankiem kawy.

Jerzy wstał, przywitał się obojętnie i dalej ciągnął relację, nie patrząc nawet na Joannę. Arogant i zarozumialec. Poczęła z uciechą obserwować jego nieregularne rysy i radować się przegranej. Bo i cóż z tego, że wytropili złoczyńców i prawie im rękę trzymali na karku? Ostatecznie wystrychnięto ich na dudków. Gdy się tak wodzili po wertepach w zachodniej polaci lasu, od północy wywieziono do dwudziestu furek drzewa budulcowego.

Stanisław był zgryziony.

— Nikt inny, tylko Pobodzan z Oleandrów kieruje całą bandą. Jak dotychczas, jest zupełnie kryty. Nie mogę go zaskarżyć i on dobrze wie o tem. Napewno dzisiaj znów zgłosi się do kupna i będzie mnie prowokował swoją miną i zuchwałemi uwagami. Muszę się ciągle pilnować, żeby nie wybuchnąć.

Elunia się przestraszyła.

— No, no, bądź spokojna. Nie chcę awantur i dlatego, Jerzy, mój kochany, zajmij się dzisiaj, czem chcesz, ale do kancelarji w czasie sprzedaży nie przychodź. Najlepiej prześpij się do obiadu.

— Nie jestem zmęczony. Naprawię stół w altanie.

Joanna uśmiechnęła się wzgardliwie. Naturalnie.. Niemordowany pracownik.

Lecz nieprzyjazny nastrój prysnął bez śladu, gdy Jerzy już w drzwiach powiedział niespodziewanie:

— Bardzo żałowałem, że nie byłeś z nami.

Wyszedł, a promienie słoneczne zatańczyły radośnie i rozłocił się cały pokój.

— Oddycham pełną piersią — zwierzyła się Eluni, karmiącej przed gankiem stadko żółciuchnych kurcząt. — Każdy ranek wydaje mi się stokroć piękniejszy od poprzedniego. Ten zapach łubinu wwierca się poprostu w serce. Nie wiem, jak zdołam ukończyć rozprawę, kiedy wszystko wzywa mnie w pole i do lasu.

— Ty i tak zabardzo męczysz się nad książkami, Joasiu. Stacho i Jerzy mówią to samo.

Czemu to w niewłaściwej i psychologicznie nieuzasadnionej chwili biją na twarz rumieńce? Mocne i zachłanne, oblewające gorącym czoło, policzki i szyję. Szczęściem Elunia przeliczała właśnie kurczęta.

Z podwórza dobiegł zgrzyt piły.

— Pójdę zobaczyć, jak tam twemu szwagierkowi idzie robota.

Pracował, jak się patrzy. Siedział okrakiem na szorstkiej, kostropatej desce i heblował ją. Miło jest patrzeć, jak z pod hebla zlatują struzyny, zadziory, wiórki i zwolna wylania się lśniaca, różowo-kremowa gładzina. Miło jest też patrzeć na miarowy a niemordowany ruch ramion.

— Oto jest rzecz najpiękniejsza w świecie: rytm pracy — pomyślała Joanna i odeszła szybko do swych

zeszytów. Bo w taki dzień, błogosławiony przez słońce i ziemię, trzeba dać z siebie co można najlepszego.

Tymczasem na dziedziniec zajeżdżały wozy. Ciemna gromada ludzka zawałiła ganek i tłoczyła się do kancelarji. Słychać było głośnie rozmowę, czasem salwy śmiechu, niekiedy przekleństwo.

— Biedny Stanisław — zauważyła ukosem myśli, ale nie przerwała pracy. Pisało się jej oto z impetem i niepowstrzymaną rozlewnością. Mijały godziny.

Nagle w ciszy interesantów zapanowała cisza. Joanna podniosła głowę i zauważyła, że kilku mężczyzn zbiegło ze schodów i stłoczyło się przy oknie kancelarji, a pozostali hurmem wepchnęli się do sieni. Słychać było urągliwy, ordynarny krzyk. Ktoś niewidzialny miotał się i ciskał przekleństwa.

— Pokłócili się między sobą?

Lecz w jednej chwili zerwała się i pomknęła ku domowi w rumieńcach nagłego wrażenia. Usłyszała podniesiony głos Jerzego:

— Nie awanturować się tutaj! Za drzwii!

Wpadła na ganek, gdy z wnętrza wysypała się gromada, czyniąc miejsce dwu splecionym ze sobą w walce mężczyznom. Mignął zły, zacięty profil, zniekształcony do niepoznania furją, jakieś brutalne ramię odepchnęło ją na bok. Przerażonemi oczami uchwyciła błyskawiczny cios pięści Jerzego, dostrzegła, jak przeciwnik jego zachwiał się i runął ze schodów na ziemię.

Zapamiętała przez jedno mgnienie trwającą scenę. Jerzego u szczytu, pochylonego ku przodowi i głowę nieznajomego, dźwigającą się z piasku ze spojrzeniem, pełnem zimnej, szyderczej nienawiści. Zamarło w niej serce pod wpływem nieokreślonych złych przeczuć, gdy nagle wszystko rozwiało się bez śladu.

— Potrąciłem cię, Joasiu. Czy mocno? — zapytał łagodny głos i zwysoka spłynęło na nią spojrzenie badawcze, przyjazne, pierwszy raz niedrwiące.

Zniknął jej z oczu zły człowiek, zniknęła gromada. Nie słyszała nawet, że ktoś mruknął ostrzegawczo.

— Niech się pan pilnuje. Pobodzan nie taki, żeby darował.

IV.

Któż nie lubi iść szerokim duktem wśród kultur leśnych, gdzie obficie różowieją wierzbówki i złocą się dziurawce? Gdzie okiem sięgnąć — pustka. Biegna przed siebie drogi, biegną przekosy. Nie wiedzą do ludzi, tylko w głąsę, w samotność.

Joanna stanęła na lekkim wzniesieniu, gdzie zbiegły się i związały w gwiazdę pięcioramienną rozstajne drogi. Widać stąd było daleko ścielące się przestrzenie, zielone soczyste łąki, moczary, zagajniki. Dziki, odludny krajobraz.

Odetchnęła pełną piersią i chciała ruszyć dalej, gdy nagle zatrzymała się przerażona.

W samem sercu rozstaja wśród srebrzystych

mietlic i złotych pióropuszków dziewanny leżał okrwawiony, nieprzytomny Jerzy.

Skoczyła bez tchu i ukłękła przy nim. Twarz miał porysowaną cienkimi strugami zakrzepłej krwi. Uniosła w rękach tę ciężką głowę, w rozpaczycy parzyła na zamknięte oczy.

Jak mogłaś myśleć, Joanno, że ci jest obcy? Jak mogłaś nie wiedzieć, że go kochasz i że chcesz żyć tylko dla niego? Ale wiesz teraz. Poznałaś ból serca.

Myśli jej przelatowały nieprzytomnie:

— Pobodzan. Zaczaił się i strzelił. Z zemsty. A w domu niema nikogo. Stanisław w mieście. Elunia na targu. Walek...

Podniosła się. Przestrzeń nie jest przestrzenią, gdy ją zdobywają pędzące o ratunek nogi.

Zdyszana, dopadła leśniczówki.

— Walek! rzucaj robotę i gnaj co tchu do Zamosia. Niech ci da swego konia.. Pan Jerzy ciężko ranny, rozumiesz? Jedź do Zwoliniec. Panią znajdziesz w aptece. Powiedz, że doktor potrzebny. Tylko pośpieszaj, Walek. A Zamość niech tu zaraz przychodzi.

Z gospożą, z Langówką poszła szybko w podwórze.

Wytoczyły wózek. Zrzuciły z górki siana. Wyprowadziły Niemrawca. Nałożyły uprząż. Drżącymi z pośpiechu rękami wiązały postronki.

— Laboga! laboga! — lamentowała Langówka. — To ci zbój! to ci zbój!

Ale pomagała rzetelnie. To ona ujęła krzepko rannego pod ramiona i dźwignęła na wóz. Ona z Zamosiem, który nadbiegł śpiesznie, właśnie, gdy noga za nogą podjeżdżały ku domowi, wniosła bezwładne ciało do wnętrza. Ona obmyła krew i opatrzyła ranę na głowie i drugą pod obojczykiem.

— Jo się znom — mówiła szeptem. — Nie będzie nic panu Jerzemu. Niechta ino doktor przyjadzie chutko.

I od sprawności jej zręcznych brązowych dłoni, i od jej składowej, rażnej krzątaniny otucha wstępowała w Joannę.

Gdy nadjechał z Elunią doktor, słodycz i spokój zagościły w sercu. Bo rany okazały się powierzchowne. Upływ krwi był duży i osłabienie znaczne, ale nie groźnego. Nic groźnego.

Nazajutrz rozświecił się dzień szczęścia. Jerzy otworzył oczy i uśmiechnął się. Patrzył, rozmawiał.

Po opatranku szepnął prosząco:

— Elu, niech przyjdzie Ewunia.

Joanna za drzwiami spojrzała pytająco na siostrę.

— Nie słyszałaś o niej? To Ewa Radlińska, praktykantka w Wodzieszynku, narzeczona Jerzego.

— ?

— Myślałam, że wiesz o tem. Stara historia. Poznali się w S. G. G. W. Studjowała tam ogrodnictwo. Dzielna i dobra dziewczyna. Naturalnie, trzeba jej dać znać. Ale konie poszły do miasta.

— Może ty, Joasiu, pójdziesz do Kubiaka. On cię zawiezie na probostwo i stamtąd zatelefonujesz do Wodzieszynka. Tylko żał mi cię. Taka jesteś blada po tej nocy. Co, Joasiu? Wyświadczyłabyś przysługę Jerzemu.

Taką przysługę... Jerzemu...

Droga nie była zwykłą drogą. Cień nie był cieniem, ani słońce—słońcem. Nie pachniała macierzanka. Nie ćwierkały ptaki. Ani Kubiak nie był tym, co wczoraj, ciekawym gawędziarzem. Był zmorą, gadającą bez przerwy.

— Jabym sam pojechał i zatelefonował, żeby panience spieki oszczędzić, ale jak panienka sobie życzy, to i owszem. Zaprzęgę kobyłę i pojedziem.

Przez drogę opowiadał:

— Panna Ewunia ładna panienka i mądra. Całe gospodarstwo w Wodzieszynku, krowy, świnie, ogród na jej głowie. Ciężko pracuje, ale dobrze pracuje. Galantą pan Jerzy będzie miał żonę. O, galantą. Na

wszystkiem się zna, na wszystko poradzi. Jak se tam kto paluchy pokraje przy sieczkarni, albo przy czem, jak tam baba albo dziecko zachoruje, zaraz uwinie się, zawiąże, poradzi niegorzej od doktora. Niebogato jest panienka, ale doskonała. A bogactwo to u Pana Boga w rękach leży. I ładno będzie para, pan Jerzy i panna Ewa, o ładno. Wedle wzrostu głównie się dobrali ładnie i wedle tej pracowitości.

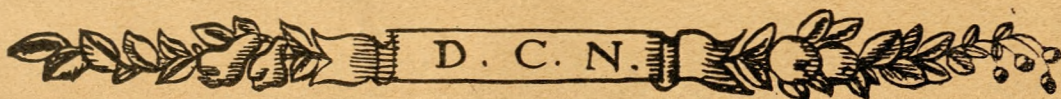
Zapachniały proboszczowe groszki na płotku i trzeba było zkolei temu wesołemu, obcemu człowiekowi objaśniać wszystko. Że tak a tak się stało.

Proboszcz zaprowadził Joannę do kancelarji, sam połączył się z dworem wodzieszyńskim i poprosił o pannę Ewę.

Joanna jak z dalekiej przestrzeni słyszała głos proboszcza.

— Pannie Ewuni dzień dobry! Chce z panią pomówić panna Joanna, siostra naszej kochanej Ordężyny.

Zofja Sikorska.



DZIEWCZĘTA PRZED SĄDEM

I.

Można je odrazu podzielić na dwie grupy: te ze wsi i te z miasta. I o każdej z nich muszę powiedzieć osobno. Dziś będę mówiła o pierwszych.

Te ze wsi wychowała wieś. Ale to się tylko tak mówi. Właściwie chowało je pole, las, gęsi i krowy, no i współtowarzysze doli pastuszej. O szkole słyszymy zawsze, że albo była za daleko, albo matka do niej nie puszczała, bo sama też czytać nie umie, albo, że się do niej chodziło, ale bezskutecznie, bo nauka nie szła do głowy.

Inne zato rzeczy wlatywały do niej łatwo i nie dawały się odpędzić. A najprędzej — legenda o mieście.

Tak, dla każdego wiejskiego dziecka miasto otoczone jest legendą.

Miasto — to coś nieznanego, odległego i najbardziej dziwnego.

Do miasta jeżdżą tylko dorośli i to wtedy, kiedy mają jakieś ważne sprawy, albo kiedy chcą coś sprzedać. Wracają później podnieceni, pełni różnych nowin i wrażeń; opowiadają ciekawe historie i przywołają mnóstwo rzeczy, których na wsi wcale niema, a każda z nich jest bezcenna.

Miasta nie są jednakowe. Te, do których się jeździ na najbliższy targ, są bardziej dostępne i można je czasem zobaczyć, dostawszy się na ojcowski wóz.

Wtedy można się dopiero nasłuchać! Naprzykład — Warszawa albo Ameryka! Kamienice takie wielkie, że jak się patrzy w niebo, to nie widać końca; koni wcale niema, tylko samochody i pociągi; we wszystkich sklepach na wystawach ciastka, cukierki i ładne suknie, a ludzie nic nie robią, tylko jedzą dobre rzeczy w cukierniach, ładnie się ubierają i chodzą do kine... kino... strasznie się to trudno nazywa! To jest taki budynek, gdzie się wchodzi, siada się na krzesło i widzi się potem, co się dzieje na całym świecie, i muzyka gra przytem jeszcze ładniej, niż orkiestra na weselu!

Ach! jakże o tem wszystkim nie myśleć później, kiedy się wróci do chałupy, kiedy się później wyjdzie na pole za gęsiami.

Jeszcze, jak jest słońce i zielono, to nic. Ale jesienią...

Deszcz pada nieustannie, że niewiadomo, skąd się w tem niebie tyle wody bierze. Nie pomagają zapaska wciągnięta na głowę. Gole nogi grzęzną w rozmięklej ziemi. Szaro, zimno, smutno. Niewiadomo, czy usiąść, czy stać, czy śpiewać, czy płakać.

Podpęda się więc gęsi w miejsca co lepsze i ciekawsze... najszczęśliwszy ten, kto może paść koło toru kolejowego...

Czas dzieli się wtedy i skraca przejściem róż-

nych pociągów. Tych czerwonych — zda się, że bez ludzi — to z drzewem, to z węglem; i tych, co to w każdym oknie mają jakąś twarz ludzką; wreszcie takich, co to i przyjrzeć się im nie można, bo wpadają, jak smoki szalone, i w pędzie, co dech zapiera, przelatują z łoskotem, jak błyskawica, w obłokach białej pary.

Dokąd dążą? Ach, zapewne tam — do miasta! Do miasta, gdzie jest ciepło, i jasno, i gdzie nikt nie chodzi za krowami...

Dostać się tam — i żyć tam — co za marzenie! Spełnia się ono w łatwy sposób.

Czasem, kiedy ściany chaty nie chcą się rozstać, a ziemia nie daje więcej chleba, niż może, zostają na niej starsi i silniejsi, a słabszych i młodszych wyprowadzają — w świat. O ile w chacie jest matka, to jeszcze tę swoją dziewczyninę przyholubi; ale starszym braciom i siostram, ojczymom czy macochom jest ona przeważnie zgoła niepotrzebna.

Więc, kiedy chce, niechże jedzie na służbę — do miasta.

Legenda się ziszcza. Nieporadne, naiwne stworzenie zjawia się nagle wśród obcych ludzi i rzeczy.

Wtedy już tylko los chroni dziewczynę, lub niszczy. Daje jej opiekunów dobrych, lub złych, zajęcie uczciwe, lub hańbiące. Niejedna z tych niepewnych dróg prowadzi ją do Sądu dla nieletnich.

Zajrzyjmy tam na chwilę.

Oto pokój posiedzeń. W kącie, na ławce skulona, ciemna postać. Nieruchoma, jak przedmiot. I, jak przedmiot, obojętna na wszystko. A tam za drzwiami kłopotczą się o nią obcy ludzie; tak zagnała się jej lossem zatroszczyli... aż dziwno.

— Pani sędzio — objaśnia mię opiekun sądowy — dziś w nocy przeszukiwaliśmy znowu miejsca podejrzone. Tę dziewczynę znalazłem w jednej z melin przy ul. Dzielnej. W tej ciemnej norze spało trzech mężczyzn, dwie kobiety i troje małych włóczęgów, których też dzisiaj kazałem sprowadzić. Oni pojadą z powrotem do poprawczego, bo to uciekinierzy. Z tą dziewczyną gorsza sprawa. Tak, to jest prawda, przestępstwa żadnego nie popełniła, ale czyż mogłem ją tam zostawić?

Nie, nie mógł jej tam zostawić — to jasne.

Wchodzę na salę.

Z ławki podnosi się ociężała niska, krępa dziewczyna. Głowa, jak wronie gniazdo. Włosy czarne, gęste, ni to długie, ni krótkie; każdy kosmyk w inną stronę. Z pod tej gęstwy wyziera blada, pełna twarz. Oczy małe, jakby zapuchnięte, ponure i nieufne. Ręce duże, czerwone, skrzyżowane na szarej chustce;

krótka spódnica do kolan. Nogi w podartych pantoflach.

— Jak się nazywasz?

Milczenie.

— Jak się nazywasz? Powiedz. Nie bój się. Tu ci nikt nie zrobi nic złego.

— Antonina Bąk.

— Skąd ty jesteś?

— Ze wsi.

— Masz rodziców?

— Ni.

— Pociąg tu przyjechała?

— Po pracę.

— Dawno?

— Nie wiem. Chyba dawno. Ze trzy lata.

— A co teraz robisz?

— Nic.

— A ile masz lat?

— Nie wiem. Musi piętnaście.

— A gdzie nocujesz?

— *Nocuje się.*

Nocuje się jest ostatnią odpowiedzią Antoniny.

Nagle wybucha niepowstrzymanym płaczem.

— Zaco mnie zatrzymali! Co ja złego zrobiłam?

Czego się mnie czepiają — sieroty!?

Nie więcej nie można z niej wydobyć.

Telefonujemy do komendantki policji kobiecej. Może ona będzie coś wiedziała o tej dziewczynie.

— Hallo!... Antonina? Tak... tak... Ależ znamy ją od dwóch lat... Z początku służyła, a potem... Według naszych papierów ma lat 15. Jest w Sądzie dla nieletnich? Czy ona coś ukradła?

— Nie, nie nie ukradła.

I właśnie dlatego opiekun sądowy ma z nią taki kłopot.

Bo niema podstawy prawnej do umieszczenia jej gdziekolwiek z mocy decyzji Sądu. A miejscowej opiece społecznej Antonina nie podlega, jako nie urodzona w Warszawie.

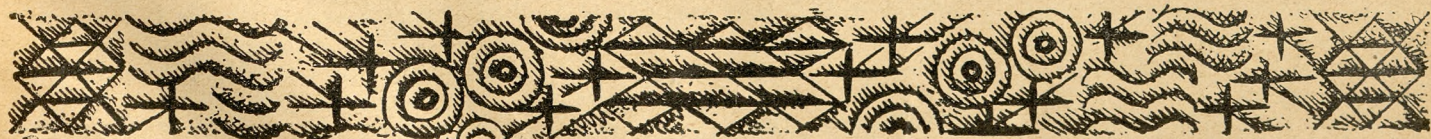
Można więc umieścić ją w zakładzie Sióstr Magdalenek, ale tylko wtedy, gdy się zgodzi zakład i gdy się zgodzi Antonina — a na to wcale nie wygląda.

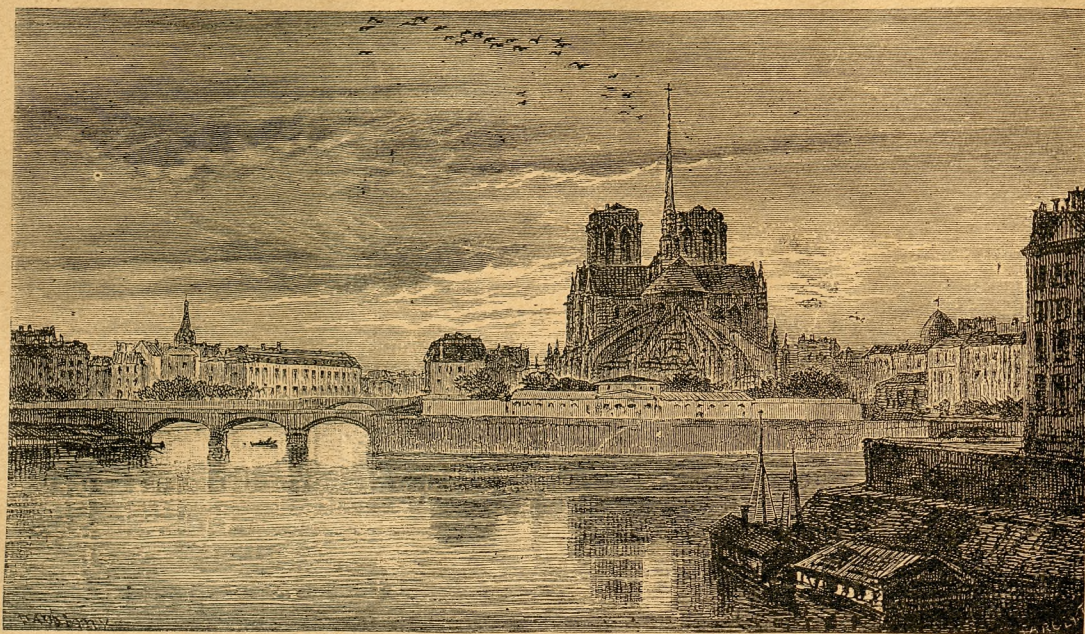
Pisze się więc odezwę do Sióstr, prosząc o przyjęcie bezdomnej dziewczyny. Odprowadzi ją tam opiekunka sądowa. Ale, o ile zakład jest przepelniony, nie pomoże nawet dobra wola kierownictwa. Również naniec będzie ta prośba, o ile jej się nie podda sama Antonina. O ile nie zechce wrócić tam, skąd przyszła — na ulicę.

A to — nie jest zakazane...

(d. c. n.)

Wanda Woytowicz-Grabińska.





Widok na Notre Dame z okien mieszkania Wrotnowskiego.

W PARYSKIEJ SOFJÓWCE

Na fontannie położony listek.

Pani Zofja za każdym razem, gdy znajdowała się w „parażach” pana Wrotnowskiego, odwiedzała go, lub, nie chcąc niepokoić starego przyjaciela, pisała słówko.

„Znalazłem na fontannie położony listek od pani Zofji” — zanotował pan Felix, gdy już mieszkał na Quai de la Tournelle. Dom ten dziś nie istnieje; fontanna zapewne była z wyszczerbionemi amorkami, w bluszcz owinięta, jak dotąd jeszcze wyglądają ostatnie fontanny w głębi podwórców sąsiedniej, coraz bardziej amerykańzującej się, wyspy świętego Ludwika.

Julja mogłaby była ukryć w zieleni słowa miłości, aby Romeo nie wątpił, że go kocha wiernie... Tym razem piękna Julja troszczyła się, aby sześćdziesięcioletniemu Romeo wyrobić posadę bibliotekarza w szkole Batiniolskiej; mieszkanie, stół, opał i 600 franków rocznie. Wrotnowski odmówił, nie czując się na siłach do systematycznego zajęcia; zbyt pracowity, zdaje się, nigdy nie był, tylko zapędzany do roboty przez wydawców, mógł dla Żupańskiego przygotować „Wskazówkę abecadłową do literatury słowiańskiej Adama Mickiewicza”, a zachęcony przez Januszkiewicza, zrobić „mappę”. Pracowity nie był i każdą rzecz długo na kantorku swym trzymał, ale oddawał ją w dobrej formie.

Gdy jednak na wszelkie przymusy zbyt narzeka, zbyt go lekcje męczą, a pisanie nie idzie, pani Zofja upewnia przyjaciela, że coś z Januszkiewiczem obmyślą, aby żył spokojnie, bez troski o jutro. Jakoś to będzie! Marzyła o posadzie dla przyjaciela, bo wiedziała, że bez stałych dochodów dręczy się o pieniądze — „golizna niesłychana”; znała jego kłopoty z furniserami, zawsze — dla eleganta — nie w porę zjawiający się rachunek od krawca. Na wiosnę przychodzi upominać się o zapłatę za komplet zimowy. „Dociśki ze wszystkich stron”.

Aby zaradzić brakowi gotówki, Wrotnowski szuka pożyczki, jedzie do pani Zofji ratować się. Ona ni-

gdy nie potrzebowała, czy nigdy o pomoc się nie zwracała? Tyle tylko wiemy, że jej dłużnikiem był pan Felix, który innym też rad był wygodzić. Pokątne banki chwilowo posiadających udzielały pożyczki w danej chwili nic niemającym, i tak kreśliło się błędne koło polskich interesów, niezrozumiałe dla rozsądnych francuzów.

Nie dając bynajmniej uwagi na to ich pojęcie, że nie jest „sérieux”, kto pożyczka choćby w świętej pewności zwrotu, pan Felix pożyczał nawet w restauracji, gdzie się stołował. Zjadłszy za trzy franki — zapłacone — befsztyczek (zdrobienie nie na miejscu, bo jak wielki musiał być w owe czasy za trzy franki befsztyk i z jakim garniturem!), prosił Chagnowej o dwa franki. A może, iż to w bliskości Biblioteki Polskiej się działo, episyjerzy patrzyli na kredyt, jako na rzecz naturalną?

Niemniej ten, co monetę wsunął do kiesy, gdy śmił po obiedzie lulkę, narzekał: „Śliczne moje życie paryskie”.

Źródłem ratunku było też Mont de Piété, dokąd wędrował to zegarek, to łańcuszek, to jedno i drugie. A gdy nawet w znajomem biurze na ulicy Saint Séverin dano mniej, aniżeli się spodziewał, oburza się na „Paryżek”, małe miasteczko, i ze swemi instytucjami dobroczynnymi, i ze swemi ulicami w ruderach, i ze wszystkim tłumem, co się po nim uwija! Noc całą potem: „biedne twarze młodych i starych bab, przynoszących węzłki z lachmanami do Góry Miłosierdzia, snuły mi się przed oczyma”.

Sny, ich znaczenie, tłumaczenie i na tem tle horoskopy na przyszłość, wiele miejsca zajmować musiały w życiu naszego uczonego, więc i w jego pamiętniku; Wrotnowski — to człowiek inny, niżbyśmy się po powstańcu, towiańczyku, encyklopedycznie wykształconym, spodziewać mogli.

Ale natomiast znajdujemy w nim mądrość znającego życie, zdrowe doświadczenie, rozbrajająca

szczerłość; obok polskich wad — uosobienie polskich zalet.

Kilku słowami jakiejś scenki, w której bierze udział, kreśli nam siebie, żywego. Wielki gaduła rozmawia z każdym spotkanym: fruitierkę namawia, aby, korzystając z pięknego dnia, poszła zobaczyć iluminacje, na imieniny cesarskie 15-go sierpnia rozpalone. Nie ucieknie Notre Dame, do której tylko zacna kobiecina chodzi, a takich ogni jutro nie zobaczysz! Tęsknota za Polską w nocnych widzeniach wylądować się nie może; tych samych, co tam kwitną, drzew tu szuka i cieszy się, gdy mu rzeźnik donosi, że jaskółkę nad mostem Austerlitz widział. Pomimo narzekania na zdrowie, pełen jest życia; sześćdziesiąt lat mając, od 5-tej do 8-mej kłusuje po Lasku, zatrzymując się jedynie, aby koń odpoczął, a jeździec mógł się napić wody sodowej z sokiem. Pełen werwy, chciwy gawroszowania, dowcipny, miły i rozmowny, wrażliwy na płęć piękną, zawiera znajomości z paryżankami, gdzie się da: i w dylizansie, i kawiarni.

Zarty trzymały się starej głowy, i rad był innych zarty słuchać. Rozwodzi się szeroko nad dowcipami dnia paryskiego. Jakaś dama, która z prowincji przyjechała koleją żelazną do stolicy, w tłumie zgubiła małżonka. Biegła zadyszana, pytając wszystkich: „Où est Lambert? Avez-vous vu Lambert?“. — Ten i ów, udając też troskę, powtórzył za nią rozpacz niepokoją, a „malpowata“ publiczność zawtórowała facetom, z dworca pytanie przeniosło się na ulicę, tyśiące ludzi zdawały się mieć bzika: „Gdzie jest Lambert? Czy pan nie widział Lamberta?“.

W późniejszym wieku nad biurko przekładający stół jadalny, lubi zjeść; menu każdego dobrego obiadu przekazał potomności.

Lubi przede wszystkim polską kuchnię i cieszy się odkrytą nową jadłodajnią, gdzie spożył „właściwie moskiewski chłodnik z rybą, nie litewski, słowiański wszakże“. Dbali bardzo o siebie, jednak nie pilnu-



...na deszczu musiał czekać na omnibus...

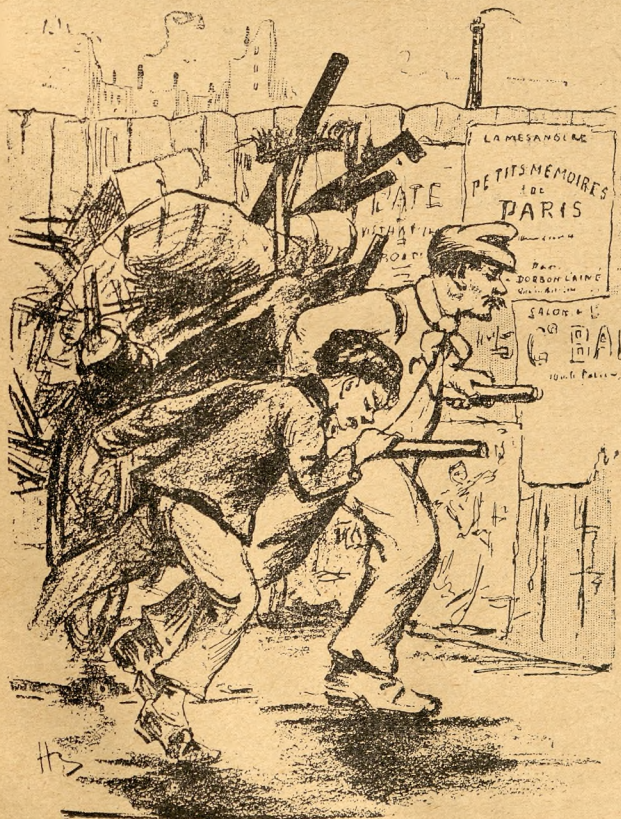
je się przepisanej diety, a potem kuruje się gorliwie, bierze pigułki i pije dekokty. Jeśli chodzi o zdrowie, to, jak każdy prawie mężczyzna, z najdrobniejszej dolegliwości robi tragedję. Musiała pani Zofja opiekę nad nim pod tym względem roztaczać, tembardziej, że zanim wpadał w rozpacz, zapominał o swych latach, aby potem bardziej jeszcze nad sobą ubolewać: „Przeciwności przesładują, dręczą choroby“. Gdy go męczy choroba kaszlowa, czy inna — opiekunka wzywa doktora, jeździ z nim do „bandażnika“, dba, aby przestrzegał diety i wypoczynku.

Obszernie o tem wszystkim rozpisuje się chory, zbyt może nawet detalicznie, pod koniec życia prowadzi dziennik dolegań, z bardzo intymnymi szczegółami; Russo mógłby mu pozazdrościć. Pomimo jednak Russa, nie przyzwyczailiśmy się jeszcze czytać takich rzeczy i nieraz mamy uczucie niedyskrecji. Wydaje się, że pewne biblioteczne rękopisy są wprowadzeniem do alkowy, na co chory nie byłby się zgodził. Może to jednak pozostałość, subtelności, już dziś nie na miejscu. Skoro czynimy wiwisekcje serc, dusz i radzi jesteśmy, gdy dostaną się nam materiały, przez autorów zakwalifikowane „nie do druku“, to dlaczego spoglądanie na męki ciała miałyby być bardziej, dla tego, kto je przechodził — przykre?

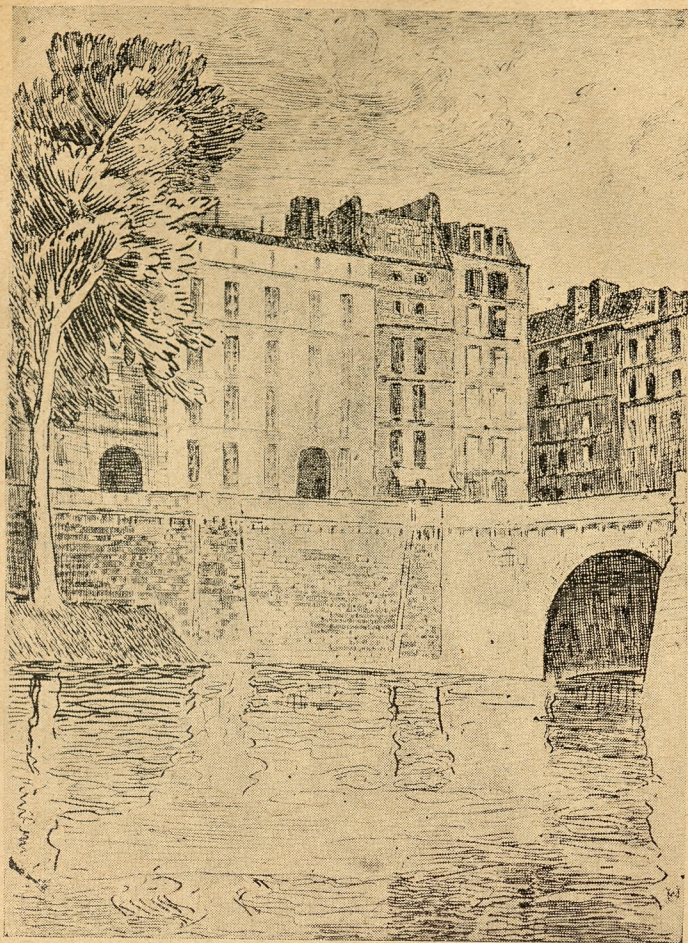
W roku 61-ym Wrotnowski opuścić musiał dom Biblioteki Polskiej, 6, Quai d'Orléans.

Wymówił mu mieszkanie generał Zamojski, chcąc oddać dzieciom górne pokoiki, które zajmował, potem okazało się, że „naparł się“ tych to pokojów Klęczko i trudno było takiej osobie odmówić.

Wiadomość o konieczności zmiany mieszkania bardzo Wrotnowskiego dotknęła: żal mu było rozle-



Przeprowadzka.



Biblioteka Polska (miedzioryt Wilka Osseckiego).

głego widoku, smutno, że nie będzie patrzył na rzekę i katedrę Naszej Pani. W końcu jednak pociesza się: zły duch, w domu tym mieszkający, wypuści go ze swej pieczy.

Lecz zły duch, ten sam, czy zły duch innego domu poszedł za nim, gdyż wkrótce potem znów się na niego skarży. Zapewne to on powodował, że pan Felix w wiecznej z dobrymi duchami był walce i dlatego prosił pokornie: „Panie Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu! daj, żebym umiał wykorzystać pomoc, którą mi dajesz, nieustannie, wszelkimi sposobami“.

Razem z panią Zofją zaczął szukać innego schronienia; ona stara się o coś w swoich stronach, na Bati-niolach, aby łatwiej jej było w razie choroby pilnować starego przyjaciela, aby wracając z częstych wieczornych wizyt u niej, nie musiał pod parasolem czekać na dylżans, ani w nocy, aż na placu Breda, brać fjakra, lub, gdy nie spotkał zamkniętego powozu, kabryolet. To też ucieszyła się, znalazłszy przy ulicy Notre Dame de Lorette stosowne, jak się zdawało, pomieszkanie. Ale epikurejczyk zaczął kaprysić: to mu nie odpowiada i tanto, wynajdował wady i niewygodę; najpewniej jednak nie chciał opuścić dawnych, prawie mu polskich, stron. To też wynalazł dom przy ulicy Cardinal Lemoine Nr. 7, niedaleko więc miał od hotelu Lambert i z okien widział Bibliotekę Polską.

Zadowolenie nie trwało jednak długo: „to nie dom a bęben!“. Gwar taki panował na wszystkich piętrach i odbijał się przy kominie, gdzie pan Felix z fajką siedział, że trzeba było znów pomyśleć o zmianie. Tym razem zbliżył się jeszcze do Sekwany, nieomal naprzeciw dawnej siedziby, tylko most dzielił go od niej: na Quai de la Tournelle, pod numer 11-sty. Prze-

nosiny odbyły się zwykłym sposobem: dwóch komisjonerów na taczkach przewiozło cały dobytek. „Nie-podobało się gospodyni, że mam mało sprzętów. Skąd-że wziąć więcej? Kazali zapłacić zgóry i na dalszy kwartał. Pora teraz dla właścicieli. Łupią, jak mogą“.

Ale choć mieszkali od siebie daleko, pani Zofja i pan Felix widywali się możliwie często; z reguły, gdy tylko pogoda dopisywała, Wrotnowski spędzał wieczory niedzielne w Sofjówce, prócz tego bywa w inne dni, spotykają się w mieście, jadają razem śniadanie u Vaillanta, a potem nieraz spacerują do obiadu.

W Pamiętniku Wrotnowskiego imię pani Zofji powtarza się bardzo często, i z drobnych faktów, z którymi jest związane, widać, jak bliski stosunek łączył tych dwoje samotników, jak wiele wzajem sobie dawali. Pan Felix w Pamiętniku swym zapisuje każdą wizytę u niej, jej wizyty u siebie, każde spotkanie; gdy nie są razem, wysłany i odebrany list. W roku 62-im wyjechał na kurację w Pyreneje — książę Czartoryski dał na nią pieniądze; czyniąc bilans wydatków, w ogólną sumę fr. 853, cen. 50, wstawia takie pozycje: kurtka dla pani Zofji (25 franków), dwie pary spadrillów (3 fr.).

Jak za kronikarskimi zapiskami kryją się doniosłe wypadki dziejowe, tak za suchymi notatkami pana Felixa kryją się dzieje przyjaźni wielkiej i silnej, która czasem tylko zdradzi się, równie krótkiem, ale już bez ogródek, zdaniem: „Byłem u pani Zofji. Jedyna pociecha!“.

Wrotnowski był dla pani Zofji — rodziną, kimś, o kogo troszczyć się trzeba, kto sprawia kłopoty, czyich narzekań słuchać musimy, ale kimś bliskim, dla którego warto żyć. Nie znaczy to, aby z własną rodziną zerwała stosunki, przeciwnie, utrzymuje je do końca życia, widuje się ze swymi bliskimi, jakkolwiek do kraju nie jeździ. W roku 64-tym była w Niemczech dla spotkania się ze szwagrem, od roku 1857 mamy wzmianki o pobycie jej siostrzeńca w Paryżu. Z opowiadań o związanych z nim wypadkach sądząc, musiał być wówczas młodzieńcem chłopcem; pan Felix daje mu lekcje i, pieczołotliwie odmieńając imię Kazimierza Gawrońskiego, nazywa go w rodzaju żeńskim — Kazią. Czy mieszkał z „wujeńcią“, nie wiemy; może z początku tak, potem tylko często u niej bywa, razem chodzą na obiady i z wizytami.

Przyjaźń pani Zofji z Felixem Wrotnowskim — to specjalny rozdział w paryskich jej dziejach. Żywiła do niego uczucia, jak do starszego krewnego, i wżajem była kochana, jak córka, czy siostrzenica. Nie było to uwielbienie i cześć, jaką miała dla Goszczyńskiego, wypływająca z roli, jaką w życiu emigracyjnym poeta odgrywał. Wrotnowski, będąc człowiekiem bardzo znacnym i szanowanym, posiadał liczne słabości, których nie ukrywał przed sobą, a więc zapewne i inni dobrze o nich wiedzieli. Oczywiście, wobec ułomności starego sybaryty, osoby, które go kochały, jak pani Zofja, traktować go musiały z pobłażliwością i to może sprawiało, że w uczuciu młodej kobiety do starego powstańca, Towiańczyka, uczonego, a więc, zdawałoby się, człowieka dość zahartowanego przeciw życiu — było coś z macierzyństwa.

Cóż my zresztą o tem wszystkim, w cudzych duszach dziejącym się, wiedzieć możemy? Sądźmy do siebie, mierzymy miarą naszych uczuć — to naszą największą wadą. Ale jedynie dzięki temu może zbliżamy się do prawdy, a w każdym razie ożywiamy dawne serca bicie...
Aura Wyleżyńska.

WYSTAWA W SZKOLE SZTUK PIĘKNYCH IM. W. GERSONA

Przed kilku dniami otwarta została w Szkole Sztuk Pięknych im. W. Gersona wystawa prac uczniów, zasługująca na baczną uwagę osób, interesujących się rozwojem naszej sztuki, ze względu na wysoki poziom oraz nader poważne założenie tej zasłużonej uczelni artystycznej.

Szkoła im. Gersona obchodzi bowiem w roku bieżącym dziesięciolecie swego istnienia. Założona z inicjatywy Warszawskiego Tow. Artystycznego, przekazana została następnie specjalnej Radzie Opiekuńczej, która od tej chwili wytrwale czuwa nad dalszym owocnym rozwojem tej uczelni.

Pierwszym jej dyrektorem



rysowanych, plastycznych głów i świetnych aktów.

Na bardzo wysokim poziomie stoi również malowanie akwarelą zarówno głów i aktów, jako też martwych natur i kwiatów. Letnie samodzielne studia pejzażowe świadczą dodatkowo o zdobytej wiedzy artystycznej oraz o zdolnościach obserwacyjnych młodych autorów.

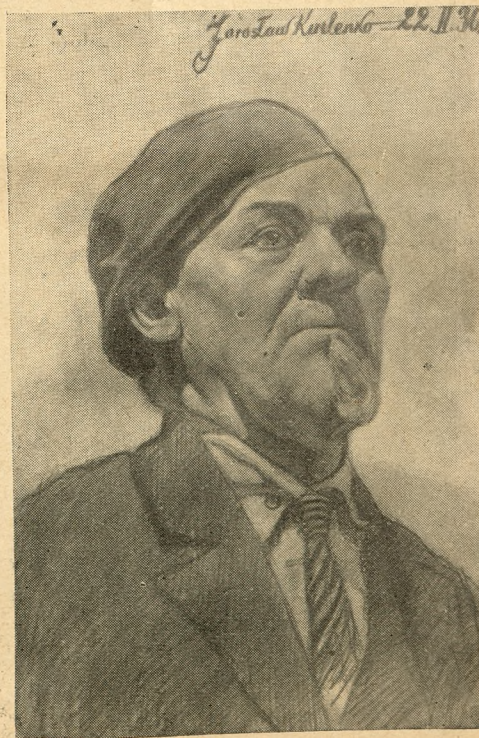
Prócz rysunku i malarstwa z natury, uczniowie zaznajamiają się też z grafiką, uprawiając drzeworyt, litografię i akwafortę i wykonując tą techniką przeróżne kompozycje dekoracyjne.

Naogół uczelnia ta stara się usilnie o nietamowanie indywidualności uczniów, w myśl zasady głoszonej przez W. Gersona: „Zawsze bądź sobą”. — Kult dla zmarłego, tak bardzo zasłużonego kierownika całego szeregu najwybitniejszych artystów naszych, panuje tu w całej pełni.

Ogólne wrażenie, jakie wnosimy z obecnej wystawy uczniów szkoły im. Gersona, określić można, jako sumę poważnej i celowej pracy, gruntownej wiedzy technicznej, dającej solidne podstawy do dalszej twórczości artystycznej, świadczącej o wysokim poziomie, osiągniętym przez wspólny wysiłek nauczających i uczniów.

Życzyć tylko należy sympatycznej uczelni, aby mogła pozyskać jaknajprędzej obszerniejszy lokal, konieczny dla dalszego szerokiego jej rozwoju; obecnie bowiem trzy pracownie, aczkolwiek obszerne, nie mogą pomieścić wszystkich zgłaszających się kandydatów; z prac zaś, przeznaczonych na wystawę, więcej, niż dołowa, z powodu braku miejsca musiała pozostać w ukryciu.

Zofja
Sk. Stankiewicz.



był profesor F. Słupski, ceniony artysta-malarz i wytrawny pedagog, który wiele inicjatywy i pracy twórczej włożył w organizację szkoły. Następnie przez lat kilka kierował nią prof. P. Weloński; od pięciu zaś lat objął z powrotem stanowisko dyrektora prof. Słupski, który ją prowadzi do obecnej chwili, stojąc na czele dobrego zespołu profesorów.

Rezultaty pracy ostatniego trzylecia, zgromadzone na obecnej wystawie, dają nam możliwość dokładnego zorientowania się w ideowym kierunku szkoły, dążącej przede wszystkim do stworzenia gruntownych podstaw technicznych do dalszej samodzielnej pracy twórczej swych wychowanków.

Uczniowie szkoły zdobywają przeto doskonałą wiedzę rysunkową, która stanowi dominującą cechę szkoły Gersona. Widzimy więc całe szeregi znakomicie



KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU

WRACAJCIE SZCZĘŚLIWIE!

Pierwszy polski raid lotniczek, o którego przygotowaniach pisaliśmy niedawno na tem miejscu, już się rozpoczął. Jako pilotki, lecą panie: Wanda Olszewska i Danuta Sikorzanka. Iwo-wianki; jako obserwatorki, Marja Lierówna z Mysłowic i Marja Wardasówna z Katowic, na samolotach turystycznych P. Z. L. 5, „Śląsk“ i „Powstaniec“, wykonanych w Państwowych Zakładach Lotniczych w Warszawie.

Trasa raidu: Katowice — Kraków — Lwów — Stanisławów — Tarnopol — Łuck — Brześć — Wilno — Lida — Grodno — Warszawa — Grudziądz — Toruń — Poznań — Łódź — Kraków — Katowice, 5 tysięcy kilometrów. Każda dzielnica otrzyma rzucane z aeroplanów ulotki i pozdrowienia od Śląska.

ś. p. ANIELA BOGUSŁAWSKA.

W tygodniu ubiegłym zmarła prawnuczka „ojca sceny polskiej“, Wojciecha Bogusławskiego. Zmarła przez lat trzydzieści występowała w warszawskim teatrze Rozmaitości, zyskując sobie żywe uznanie w kreacjach charakterystycznych i komicznych. Poza tem ś. p. Bogusławska pisała poezję i utwory sceniczne, oraz znana była jako doskonała nauczycielka dykcji.

Zmarła była żoną wybitnego artysty Bednarczyka, publicznie używała jednak nazwiska pradiada, dla którego żywiła głęboki kult rodzinny i artystyczny.

ZA MĄDRĄ I UCZCIWĄ PRACĘ.

W Belgji odbywa się corocznie Święto Pracy, podczas którego otrzymują odznaczenia robotnicy i różni pracownicy handlowi, przemysłowi i rolnicy. W tym roku król Albert, w towarzystwie następcy tronu księcia Leopolda, udekorował między innymi staruszkę włościankę, właścicielkę maleńkiego kawałka ziemi, który sama uprawia tak wzorowo, że posiadłość jej stawiana jest jako przykład tego typu gospodarstw.



Król dekoruje wieśniaczkę.



Jeszcze nie głosują.

MAHOMET ZWOLENNIKIEM RÓWNOUPRAWNIENIA.

„Zarówno mąż, jak i żona mają względem siebie równe prawa i równe obowiązki“.

Kobiety egipskie nie są takimi indyferentkami, jak tureczki, i pragną stosować się do przepisów religijnych, to też to prawidło jest im bardzo na rękę. Wyszukały jeszcze i drugie na swoją korzyść. Mianowicie: Mahomet, aczkolwiek nie przeciwstawiał się wielożeństwu, ponieważ w tym czasie panowało ono w wielu innych wyznaniach, powiedział jednak, że *odradza* je, gdyż bardzo trudno jest przeciętnemu człowiekowi zapewnić przyzwoite utrzymanie kilku żonom i postępować z wszystkimi z równą sprawiedliwością i względami (to też poligamia u mahometan rozpowszechniła się głównie wśród sfer zamożnych; włościanie, wyrobnicy i t. p. mają zwykle jedną żonę).

Opierając się na tych wskazaniach proroka, egipcjanki rozpoczęły energiczną agitację za skasowaniem wielożeństwa. Celem swego jeszcze nie osiągnęły, ale udało się im już uzyskać różne uprawnienia dla kobiet zamężnych: alimenty dla kobiety, którą mąż porzucił, oraz przyznanie w razie rozwodu, matce bezwzględnie, w każdym wypadku, dzieci: do lat 11 dziewczynki, do 9 chłopców. Kobieta ma prawo żądać rozwodu, o ile mąż ją źle traktuje, bije, albo jeżeli cierpi na nieuleczalną chorobę.

W zakresie praw majątkowych mają też egipcjanki pełną swobodę. Dysponują swym majątkiem same, nie potrzebują upoważnienia męża do żadnych aktów cywilnych i mogą powierzyć administrację swego majątku komu innemu, nie mężowi.

Dostęp do wszystkich gałęzi wiedzy jest również dla kobiet otwarty. Jedynym wyjątkiem są prawa polityczne. I te jednak zostaną zapewne wkrótce przyznane. Egipcjanki biorą już żywy udział w życiu społecznym, zawiązują stowarzyszenia, zakładają szkoły, organizują wystawy, wydają pisma i żywo interesują się sprawami politycznymi. W tym roku na otwarciu parlamentu galerje przepełniły kobiety. Obecne były między innymi małżonka prezydenta ministrów i wszystkie ministrowe.

SIOSTRY — PIEKARKI.

Postęp w organizacji gospodarstwa domowego rozszerza się wszędzie. W klasztorach różne prace gospodarskie odgrywają dużą rolę, gdyż klasztor stara się być samowystarczalny w swych potrzebach, włącznie z prowadzonymi przez siebie szkołami, warsztatami i t. p.: to też i tam wprowadzono już wszędzie nowe urządzenia, ułatwiające gospodarstwo.

Rycina nasza przedstawia taką nowoczesną piekarnię zakonną. Mieści się w niej wspaniały piec elektryczny i wszystkie przyrządy, rozmieszczone w myśl najlepszego wykorzystania każdego ruchu podczas pracy. Jedno pociśnięcie kontaktu włącza prąd, który nagrzewa piec do odpowiedniej temperatury, utrzymując ją przez okres czasu, potrzebny do upieczenia. Dwie siostry wyjmują i wkładają kolejno gotowe już i przygotowane do pieczenia bochenki.



Czysto, szybko i lekko się piecze.

NOWA GODNOŚĆ ŚWIETNEJ AUTORKI.

Znakomita powieściopisarka i autorka dramatyczna, Zofja Nalkowska, wybrana została przewodniczącą Zawodowego Związku Literatów. Jest to pierwsza w Polsce kobieta, powołana na stanowisko prezesa poważnego Związku literackiego.

JAK PRACUJE FIDAC ŻENSKI.

Obok wielkiej organizacji byłych kombatanów krajów aljanckich Fidacu, istnieje organizacja kobieca, tak zwany „Fidac pomocniczy“, w którym uczestniczą kobiety, które w czasie wojny niosły pomoc armji na polu samarytańskim i kulturalnym.

Polki w organizacji tej zajmują wybitne miejsca. Na ostatnim Kongresie w Pradze Czeskiej przewodniczyła obradom p. Julja Mazarakowa, dotychczasowa prezeska międzynarodowego zarządu. Jednym zaś z najbardziej interesujących punktów porządku dziennego był referat p. Wandy Ładziny na temat urządzenia stałej wystawy propagandowej w Paryżu. W wyniku uchwał *powołano do życia sekcję propagandową i przewodnictwo jej złożono w ręce p. Ładziny.*

W myśl wywodów polskiej referentki, wystawa nie ma na celu wywoływania na widowieństwo wspomnień wojny. Należy bowiem siły żywotne skierować właśnie ku zacieraniu strasznych jej śladów i użyć ich dla akcji porozumienia między narodami, co musi być oparte na wzajemnym poznaniu się i zrozumieniu odrębnych charakterów narodowych.

Stała wystawa Fidac'u żeńskiego w lokalu tej organizacji w Paryżu będzie więc przede wszystkim zawierała okazy z dziedziny folkloru i pracy poszczególnych ludów. Jako wzór, przywiozła p. Ładzina piękną małą wystawę polską, obejmującą lalki w strojach ludowych, hafty, kilimy, pasiaki, koronki, tkaniny wileńskie, ceramikę i rzeźby, użyczone przez Zdobnictwo Polskie; pozatem fotografie z Polski, albumy artystyczne i t. p. w celach propagandowych ofiarowane uczestniczkom zjazdu.

Z innych uchwał kongresu warto zanotować zamiar wydania książki o „bohaterstwie kobiet podczas wojny“ i dalsze wydawanie pocztówek propagandowych z mapkami i krótkimi wiadomościami o każdym ze zrzeszonych w Fidac'u krajów. *Pierwsza w serji tych pocztówek ukazała się Polska*, interesująco i estetycznie wydana, druga Czechosłowacja.

W tym roku również odbędzie się konkurs dzieci na temat: Jak ezcimy rocznicę zawieszenia broni.

Ta praca propagandowa pod kierunkiem polki, wytrawnej działaczki, obdarzonej istotnym talentem i zapalem propagatorskim, może mieć doniosłe znaczenie.

I W LONDYNIE I W WARSZAWIE WARSZAWSKIE WIOŚLARKI GÓRĄ.

Na przystani Warszawskiego Klubu Wioślarek odbyły się doroczne Międzyklubowe Regaty kobiece, organizowane przez ten Klub. Udział brało 88 zawodniczek z klubów: Warszawskiego, Bydgoskiego, Tow. Wioślarek w Kaliszu, Wojskowego Klubu Wioślarskiego „Proсна“ w Kaliszu, Wojskowego Klubu Wioślarskiego Grodno, Tow. Wioślarskiego we Włocławku, Z. U. S. S. Zjednoczenia z Warszawy.

W biegu czwórek półwyścigowych pierwsze miejsce zajęła osada Tow. Wioślarskiego we Włocławku; drugie osada Tow. Wioślarek w Kaliszu.

W biegu dwójek półwyścigowych 1-sze miejsce zdobyła osada Warszawskiego Klubu Wioślarek.

W biegu czwórek półwyścigowych pierwsze miejsce przypadło osadzie Warszawskiego Klubu Wioślarek; drugie zajęła osada S. W. Wojsk. Klubu Sportowego „Proсна“ w Kaliszu.

W biegu jedynek zwyciężyła p. Pomorska Zofja z Warszawskiego Klubu Wioślarek.

W biegu czwórek półwyścigowych lekkiej wagi pierwszeństwo miała osada Warszawskiego Klubu Wioślarek; drugie miejsce osada Tow. Wioślarek w Kaliszu.

W biegu Scull nowicjuszek, J. Chabalewska z Warszawskiego Klubu Wioślarek — walkower.

W biegu czwórek półwyścigowych pierwsza osada Warsz. Klubu Wioślarek, druga osada Bydgoskiego Klubu Wioślarek.

W biegu czwórek o mistrzostwo Warszawy startowały 5 osadry, 1-sze miejsce zajęła osada Warsz. Klubu Wioślarek.

1831 A. STARKMAN 1931
SKŁAD FUTER

Warszawa, Plac Teatralny (pod filarami)

Poleca: FUTRA damskie i męskie w wielkim wyborze, oraz nowe modele. Ceny niskie.

607

NASZA MÓWNIKA

Jak się u was dzieje?

W artykule „Tylko Polska“ w „Bluszczu“ powiedziano słusznie, że kobiety polskie, mieszkające na Kresach, mają wielkie zadanie w sprawach szerzenia tam kultury polskiej, a jednocześnie normowania stosunków i współżycia z ludnością ukraińską. Sprawa ta, tyle budząca obecnie dyskusyj i zainteresowania, tyle niekorzystnego dla nas rozgłosu i nieproszonych opiekunów zagranicą, wywołująca takie dramaty, jak zamordowanie ś. p. Hołówki, jest naprawdę palącą raną, którą trzeba radykalnie wyleczyć.

Podziwiać musimy mądrość i spokój naszego narodu, którego głęboki żal nie przybrał jednak form zemsty i nienawiści. Zarówno rząd, jak i cała opinia publiczna przemówiła zgodnie, że Polska nie da się sprowokować i nie zejdzie z linii swej dotychczasowej polityki.

Nasuwa się tylko uporczywe pytanie: dlaczego jest tak, jak jest? Nie ciemniżyliśmy nigdy nikogo; nie mamy w całej naszej historii ani jednej karty takiej, jak tyle innych państw, które przemocą i prześladowaniem wtłaczały podbite narody w swój organizm państwowy. Prawa nasze dają możliwość kulturalnego rozwoju każdemu obywatelowi i każdej grupie narodowościowej. Chodzi więc naturalnie o to, że Rusini nie chcą mieścić się w ramach państwowości polskiej.

I tu jest właśnie punkt ciekawy: czy nie chcą istotnie i *kto* nie chce? Czy meneralzy i agitatorzy, robiący swoją karierę polityczną, czasem na Ukrainie, a czasem zagranicą, czy sam lud ruski?

Najważniejszą rzeczą jest właśnie postawa tego ludu, istota jego stosunku, nastawienia do nas. Czy ma on tylko zwykłą chęć rozwoju, w granicach swego języka, szkoły, spraw gospodarczych, choćby zaprawioną zwyklemi również, drobnymi, sąsiedzkimi antagonizmami do ludności polskiej, czy też zdaje sobie sprawę, dokąd prowadzi działalność jego przywódców?

Otóż to wiedzieć muszą najlepiej ci i te, którzy z tym ludem obcuje, mieszkając wśród niego, i tego bylibyśmy ciekawie dowiedzieć się od pań z tych Kresów. Pisywały przecież dość często pani Leonarda W. i pani Chomsowa, zapewne i wiele innych ma „Bluszczy“ w tych stronach czytelniczek. Byłoby bardzo dobrze, aby te panie zechciały nas poinformować, jak te sprawy stoją i jak tam pracują polskie organizacje kobiece? Naturalnie, że zakres ich działalności obejmuje głównie sprawy ludności polskiej, ukraińcy bowiem mają swoje odrębne placówki społeczne, oświatowe i gospodarcze; ale czy w swojej działalności spotykają się te polskie i rusińskie placówki, jaka jest forma tego zetknięcia i jaki jest prywatny stosunek ludności. Bo pomimo wszystkich, godnych pożałowania wybryków z tamtej strony, stosunki takie jednak istnieją.

Przypominam sobie, iż kiedyś p. Leonarda W. wspominała o tem, że wielu polaków rozmawia w domu po rusińsku i że nie raz trudno jest rozgraniczyć ściśle narodowości. Dowodziłoby to, z jednej strony, że nie wszędzie panuje ta „krzywda i nienawiść“, o której tak szeroko prawią zagranicą agitatorzy, z drugiej zaś, że żywioł polski jest za mało uświadomiony, silny i niedostatecznie promieniuje, pomimo swego państwowego stanowiska.

To wszystko, to cały szereg kwestyj niezmiernie ciekawych. Czekamy, aby nasze Panie-korespondentki z tamtych stron zechciały wyjaśnić nam istotę rzeczy. *Zofja B. z Mazowsza.*

Z grosza wiele tysięcy.

W całym kraju rozbrzmiewa hasło pomocy dla bezrobotnych; nawołuje do niej rząd, duchowieństwo, ośrodki działalności społecznej. W naszym „Bluszczu“ odezwał się już głos,

zwracający się do wszystkich kobiet, o organizowanie tej pomocy nawet doraźnie, sposobem domowym, głos, na który (dziwię się bardzo!) niema dotychczas odpowiedzi. Cała akcja jest w stadium formacji, a czas nagli; dlatego zdaje mi się, że każdy pomysł, każdy projekt pomocy powinien być podany do wiadomości ogółu. To też podaję mój, choć nie leży on w płaszczyźnie wykonalności dla osób prywatnych, może jednak zwrócić nań uwagę panie działaczki społeczne i posłanki, które mogą spowodować przyjęcie go przez sfery miarodajne. Oto, czy nie byłoby dobrze opodatkować korespondencję pocztową, *jeden grosz* od znaczka? Jeden grosz przy wysyłaniu listu nie obarczy nikogo, a ile listów rozchodzi się dziennie w całej Polsce?! Listów, nieraz traktujących o wielotysięcznych sprawach handlowych i przemysłowych i listów ludzi względnie zamożnych, bo bardzo biedni mało korespondują. Teoria i praktyka dowodzą nam przecież, że nie wysokie sumy od niewielu, lecz najdrobniejsze od masy najwięcej przynoszą. A powtarzam: jeden grosz nikomu nie zacięży.

Czy tolerować miłość męża do innej kobiety.

Zagadnienie doby obecnej nader częste, powodujące tyle cierpień i załamań. Możeby która z wielu zaradziła zlemu, lub dała wskazówkę, jak dalej żyć, by nie zatracić wiary w człowieka i nie zgubić radości życia? Myślę, że losy, podobne moim, przeżywa wiele kobiet zamężnych i to właśnie w epoce naszej, kiedy przynależność mężczyzny do jednej kobiety zdaje się nieomal absurdalną, a etyka stała się bardzo rozciąglą, obejmującą tolerancyjne pojęcie moralności, zwłaszcza u mężczyzn.

Możeby która z Pań znalazła rozwiązanie powikłanego węzła małżeńskiego, kiedy to wie się, że jest ta druga, na pozór nieistniejąca, a jednak wpływająca na atmosferę domową, przynosząc czasem oschłość, obecność, a czasem ból. Ta niewidzialna, zabierająca najcenniejszy skarb, bo przyjaźń i miłość męża, czasem na czas dłuższy, albo na zawsze. Tak rzeczy biorąc, zdawałoby się najłatwiejszym wyjściem, rozwiązanie więzów małżeńskich. A jednak, jak wspomniałam, nie mówi się o tej drugiej i trwa się dalej w pozornie harmonijnem pożyciu. Tylko dwoje ludzi z sobą złączonych odczuwa i przeżywa tę walkę, a mimo niej trudno jednak się rozejść, bo z jednej strony wiąże miłość, z drugiej nawyk, przywiązanie, lub też pokochanie dwóch istot.

Jakie znaleźć rozwiązanie w tym konflikcie psychicznym? Czy czekać i wierzyć, a może zło minie? Lecz skąd czerpać siły na codzienną udrękę niedowierzań i na odczucie bólu i walki z sobą ukochanego? Czy też, mimo głębokiej miłości, zerwać i pójść drogą samotną, bez ukochanego? Czy tolerować tę „drugą“ i zadowolić się rolą podrzędną, rolą narzuconej przez mus życiowy? Czy może poszukać przyjaciela, któryby tę pustkę wypełnił? Lecz znaleźć przyjaciela dziś, zdawałoby się pewnie równie absurdalnym, jak mówić o wierności małżeńskiej, dziś, kiedy pewną część społeczeństwa ogarnęło nowe pojęcie moralności, przynależności wspólnoty ciała; kiedy poza ciałem nie widzi się i nie pragnie innej, duchowej radości życia.

Jakie znaleźć rozwiązanie? Co robić, kiedy rozejście zdaje się trudnem obopólnie, a żyć ciężko? Jakie znaleźć wyjście? Może która z wielu Pań była w tem samym trudnem położeniu i wyszła zwycięsko?

Jedna z wielu

Panią Zofję Persowską w Byteniu prosi Ada W. z Kielec o wiadomość. Na dwukrotne listy nie było żadnej odpowiedzi od trzech miesięcy. Tą drogą pragnę nawiązać zerwane nici serdecznej przyjaźni. Adres bez zmiany — Śniadeckich 5. *Ada W.*

KŁOPOTY PRABABEK

(dokończenie)

Tak oto wszelakie dobro, w domu nagromadzone, choć z jednej strony splendor przynosiło, z drugiej — wiele trudu i starunku wymagało, o czym zresztą i dzisiejsze gospodynie doskonale wiedzą. Różnica jest tylko ta, że dawniej tego dobra było znacznie, znacznie więcej.

Pomocą dla pani domu, zarówno przy katalizmach przedświątecznych, jak i wobec codziennych gospodarskich spraw, była tak zwana Pani Starsza — prototyp późniejszej możnowładnej klucznicy. Ona dozorowała jesienno smażenia, wędzenia, suszenia; ona baczyła na pięknie rosnące ciasta, ona wreszcie strzegła argusowem okiem cnoty powierzonych sobie dziewcząt dworskich i, w miarę potrzeby, ujadła się z nimi rzetelnie, jako że dawniejsza służba, dworem szumnie zwana, ani trochę nie była lepsza od dzisiejszych garnkotłuków „do wszystkiego”. Poza to Pani Starsza miała jeszcze jedną niezmiernie ważną funkcję: pomagała pani przy zaopatrywaniu apteczki. Apteczka była tym obowiązkiem niewiasty z XVII-go wieku, o którym się dziś prawie nie pamięta i dla którego w pracach współczesnej pani domu prawie niema odpowiednika. Obowiązek ten wytworzyła wyżej wspomniana samowystarczalność, która dochodziła niekiedy do takiego absurdu, że dziecko i księdza zastępował. Dziedziczka natomiast już z reguły zastępowała lekarza i nikomu przez myśl nawet nie przeszło, czy aby zna się na tem. Musiała się znać i na leczeniu, i na przygotowaniu odpowiednich medykamentów, które potem hojną ręką rozdawała, a także musiała umieć tkać, bielić płótno, szyć... i doglądać ze znanstwem całej falangi rzemieślników, których każdy dwór był pełny.

Bo dwór w dawnej Polsce musiał nie tylko żywić się swoim przemysłem; ale wytwarzać nieomal wszystkie artykuły pierwszej potrzeby, do ubrania włącznie. Oczywiście, że przeróżne droższe materje kupowano po miastach, albo z zagranicy sprowadzano, jak np. atlasy, złotogłowa i adamaszki od włochów; ale odzież na codzień była szyta z materiałów własnych. Szczególniej płótno na bieliznę musiało być koniecznie swojej roboty, a bywało tak cienie i piękne, że niech się jedwabie schowają.

Bo trzeba wiedzieć, że niewiasta XVII-go wieku, przy całej swej pracowitości i gospodarności, ogromnie lubiła się stroić i zawsze znalazła czas, aby sobie jedną, drugą jubkę uszykować, głowę ozdobić tocznicą*) i przed zwierciadłem krzywą postać. Wiek XVII rozpoczął swój żywot pod znakiem polskiego stroju jeszcze, ale już w drugiej jego połowie poczęto się ubierać modą zagraniczną, zbytek wstęg i ozdób na siebie nakładając.

*) siatka z pereł.

Niejaki Łącznowolski tak nam opisuje niewieście za modą gonienie:

Więcej ujrzysz na drugiej wstęg, niż u kramarki,
Rzekłbyś, że żywe chodzą po świecie jarmarki,
Wstęga rękaw w kilkoro koło ręki wzbiera,
Wstęga kosztowne perły na szyi zawiera,
Wstęga zdobi tył głowy, nie bez wstęgi ucho,
Wstęga trzymie zapięte od spódnicy rucho,
Kwiat ze wstąg na ramionach, i chustkom wstąg trzeba,
Wstąg trzewikom...

Okazuje się jednak, że ród męski już w XVII-yim wieku był w sądach niesprawiedliwy i dla niewiast źle usposobiony, bo woneczas, kiedy to pan Łącznowolski tak na kobiety pomstuje, i męska próżność doskonale szła wparagon z kobiecą, a może ją nawet przewyższała. Miały niewiasty alamody adamaszkowe i ze złotogłowiu — mieli drogocenne szaty i mężczyźni, i tak samo, jak kobiety, przystrajali je jeszcze klejnotami i drogocennymi futranami. A niewieście złote noszenia, manele i łańcuszki zastępowali bronią drogocenną, złotą, kamieniami nabijaną.



Strój damy polskiej.
(Anna Opalińska — podług portretu w kościele OO. Bernardynów w Leżajsku).

Już to wiek XVII, jak żaden inny chyba, lubował się we wspaniałości i barwności szat, ale ponieważ zajmujemy się dziś wyłącznie sprawami gospodarskimi, czyli, poprostu mówiąc, odwrotną stroną medalu wszelakiego pięknego decorum, westchnijmy więc litościwie nad losem pani domu, która o tych wymyślnych szatach staranie mieć musiała. Nic to jeszcze atłasy, złotogłowa i jedwabie, boć sobie spokojnie w sepetach leżały, okazji nieladajakiej czekając; ale futra, futra, które trzeba było wietrzyć, a pilnować, by, zgodnie z tradycją, przechodziły z pokolenia na pokolenie, chlubnie świadcząc o zamożności domu.

Drugim ważnym zmartwieniem gospodyni była bielizna, i to właśnie bielizna niewieścia. Pan mąż chodził w prostej, zmieniał rzadko, nieomal dwa razy na rok, a na codzień często obywatel się bez niej, zupełnie. Ale pani musiała mieć giezłeczko nieladajakie, szczególnie w pierwszej połowie XVII-go wieku, kiedy nosiła kształcizek, czyli gorsecik, pokazujący rękawy giezłeczka. Co znaczy kawałek krepdeszyny, zwany dziś z niewiadomych powodów — kombinacją, który można przeprać w pięć minut na miednicy, wobec do pięć sięgających obiektów, przy których kryzy należało rurkować i ukladać, aby stały sztywno, tworząc naokoło twarzyczki pięknej pani piękny i równy „cyrkul“! A winno ich być, tych giezłeczek, coniemiarą, to też nie dziwnego, że wyprawę panny szykowano niemal od jej urodzenia, pracując nad nią wytrwale. Ale też takie giezłeczka nie szły w strzepy po trzech praniach, ale przechodziły często z matki na córkę, jako że w onych czasach moda na bieliznę się nie zmieniała.

Myliłby się każdy, ktoby przypuszczał, że syn ujmował matce kłopotu wyprawowego; wiele się także bowiem musiała napracować i nastarać pani-matka, zanim zgodnie z wolą rodzica wyekwipowała syna na wyjazd zagranicę.

Jedyna rzecz, której szlachcic polski nie mógł znaleźć doma, to była oświata, to też nolens volens musiał jechać po nią w obce kraje, potrząsnawszy, i to mocno, mieszkaniem. Takie peregrynacje synów szlacheckich pod kierunkiem wybranego preceptora, były w wieku XVII-ym ogromnie w modzie i należały do dobrego tonu. Ale ten dobry ton, jako zresztą wszystko, co było ze sprawami domu i rodziny związane, obijał się o białogłowę, która musiała szyć, krajać, a zapasy robić, popłakując przytem

zciha, że to dziecko rodzone między obcych na turlaczkę posyłać trzeba. Ale tak zdecydował pan mąż, a niewieście słuchać go należy. Pomimo takiej zasadniczej postawy, nie przypuszczajmy, aby kobieta w wieku XVII-ym nie była należycie oceniana i szanowana. Już to trzeba przyznać, że swą naprawdę ciężką pracą a oddaniem się domowi zyskała miły sercu tytuł najlepszego przyjaciela i najdzielniejszego współpracownika. A co ważniejsze, w stosunku do tych tytułów stała na wysokości zadania.

Dalekie przecież jeszcze były czasy, kiedy niewiasta, ustroiwszy się w jedwabiste robrony, a lica barwiczką i muszkami ozdobiwszy, po woskowych pawimentach w takt menueta kroczyć poczęła, uczonne dialogi wiodąc. Dusza niewiasty XVII-go wieku prosta była jeszcze i nieskomplikowana, jako te ich domostwa drewniane, nie równe zagranicznym murowanym pałacom.

Dziwno więc, jakim sposobem doszła do mądrych pertubacyj męskiego rozumu, w niejednym panu mężowi doradzając. Zapewne mądrość ona przyszła do nich tą samą drogą, co i wiadomość o tysiącu i jednej gospodarskich spraw: drogą atawizmu częściowo, a częściowo drogą niezawodnej kobiecej intuicji. Ona to nauczyła je, dziś niby świeżo wynalezione, systemu Taylora, który pozwala dzielić czas na sprawy gospodarskie, towarzyskie i rodzinne, zostawiając przytem jedną i drugą chwilę na własne ochędństwo, na spojrzenie w zwierciadło i na... oczywiście, nie na przeczytanie książki, bo o tem dawne panie domu wcale nie myślały, ale na haft, który był ulubionem zajęciem podczas rzadkich wolnych chwil.

Tak oto przedstawia się praca gospodarska białogłowy z dalekiego stulecia, i sądzę, że nawet najpracowitszej gospodyni dzisiejszej może zaimponować.

Zofja Miszewska.

MYŚLI NA SPACERZE

Żyjemy obecnie pod znakiem sportu; rzecz to naprawdę dodatnia, bo wiadomo, jak sport hartuje, wpływa korzystnie na przemianę materji, wyrabia siły, sprawność i orientację fizyczną i umysłową, poprawia nawet wady cielesne i upiększa, a co najważniejsze: daje prawdziwą radość życia.

To też uprawia go namiętnie młodzież, a i starsi zabierają się doń, często z trudnością, czasem trochę śmiesznie przewyciężając przeszkody, stawiane przez wiek, tuszę, a nieraz, niestety, i odrobinę obawy o powłokę cielesną: żeby nie upaść, albo nie nadwęgryć „starych kości“.

Ale obawy przewycięża się jakoś i z czasem coraz lepiej idzie gimnastyka, mamusię razem z córkami, lub osobno, zapisują się do stowarzyszenia wiosłarek, uczą się pływać i wiosłować; szczuplejsze dosia-



KWEDLINOR

605

KWEDLINOR BRAUNSA-
WYWABIA SKUTECZNIE PLAMY, NIE
NISZCZY TKANIN I JEST NIEPALNY.

dają roweru, trafia się i poniekąd z floretem „w dłoni“, co doskonale robi właśnie na tuszę (znam taką mamusię, którą syn, kadet, uczył na wakacjach fechtunku: straciła w miesiąc cztery kilo). Jednym słowem, ruch na całej linii.

A wśród tego wielkiego, nowoczesnego rozgwaru zapodział się trochę, dawny, skromny spacer.

Prostu wyszedł z mody.

Jakto, słyszę już oburzone protesty, spaceru nie używamy? A campingi, a wycieczki, podczas których młodzież przebywa dziesiątki kilometrów dziennie?

Aha, właśnie: młodzież, a starsi?

Przedewszystkiem wycieczka, to nie spacer. Na wycieczce chodzi naprawdę o „pokonanie“ pewnej przestrzeni, trzeba dojść tam na obiad, gdzieindziej na nocleg, jeszcze w bok, dla zobaczenia czegoś, lub dojścia do stacji kolei, czy statku parowego.

Taką wycieczkę robi się parę razy do roku, camping weekendowy w najlepszym razie co tydzień. Na spacer warto pójść codziennie.

Przytem, jak już wyżej powiedzieliśmy, wielkie treningi piesze uprawiają głównie osoby w wieku szkolnym i uniwersyteckim, starsze już bardzo rzadko.

Przytem jest wiele osób, które, pomimo mody i wszystkich korzyści sportu, nie uprawiają jednak żadnego. Czasem przeszkadzają temu drobne, nabyte z wiekiem ułomności, często oszczędność (sport wymaga jednak pewnych wydatków), kiedyindziej brak czasu, lub niemożność przewyciężenia się aż do tego stopnia.

A tymczasem spacer nie kosztuje, nie wymaga żadnych specjalnych przygotowań, ani zdolności, jest znany i przystępny, jak stary, dobry przyjaciel.

Bo dawniej uprawiano go jednak więcej, bez różnicy wieku. Ludzie chodzili „na wody“ do Saskiego ogrodu, na spacer do różnych podmiejskich ogródków, dosłownie „chodzili“, bo tramwaj konny, poczciwina, szedł jeszcze wolniej.

Teraz elektrowozy, taksówki, autobusy kasują nam przestrzeń, oszczędzają czas, ale, jeśli tak dalej pójdzie, to nogi staną się chyba organem szczytkowym!

W dodatku ten zanik chodzenia powoduje jeszcze, zwłaszcza u starszych, obawę ruchu ulicznego. Znam taką osobę, która, ciągle jeżdżąc, bała się wkońcu przejść przez ulicę. Z chwilą, gdy zaczęła trochę spacerować, obawa ta minęła.

Zastanawiamy się dziś nad przejściem pieszo kawalka „pojemności“ pięciu minut, kombinujemy tramwaj z autobusem, wahamy się z wynajęciem mieszkania o dziesięć minut od stacji komunikacyjnej, a kwadrans napawa nas zgrozą: to na końcu świata! Na perswazję, że przecież trzeba pójść na spacer, odpowiada się zwykle: nie mam czasu.

Prawda i to niekiedy, ale mam wrażenie, że przy odrobinie dobrej woli znalazłaby się rada. Trudno jest chodzić pieszo do oddalonego miejsca pracy, gdzie sta-



44 lat. Przed kuracją.

Wyłącznie stosowanie najnowszej metody (Imuno-Hormonowej) odmładzania skóry (Regeneracja)



Po 10 tygodni kuracji.

Całkowite wygładzenie zmarszczek i fałdów. Odzyskanie świeżej, młodzieńczej karnacji, oraz usuwanie znamion, brodawek, pryszczków, wągrów, piegów, plam, odmrozin i t. p.

LECZENIE CHOROÓB WŁOSÓW po cenach dostępnych skutecznie gabinet kosmetyki lekarskiej.

G. OKOŃSKI Warszawa, Nowogrodzka 41, m. 2. Telefon 268-48.

Godziny przyjęć od 11 - 1 i od 4 - 7 wiecz. 599

wieć się trzeba rano, ale ileż osób jada potem obiad na mieście, po obiedzie trzeba wykroić sobie z dnia pół godzinki i przejść się.

Dla pań domu, nie pracujących zawodowo, powinno być z tem być łatwiej, gdzie tam! Jest jeszcze gorzej. Tyle zajęcia przy gospodarstwie, ciągle ktoś czegoś potrzebuje, trzeba czekać na przyjście domowników, lub ich wyjście — niema mowy!

Tym zakłopotanym gospodyniom trzeba jednak przypomnieć, że obecnie już opinia publiczna woła o urlopy dla pań domu, a organizacja pracy pozwala każdemu urządzić się w domu tak, aby mieć godzinę dziennie swobody.

Kto może więc, niech wraca pieszo z zajęcia; kto inny, zarządziwszy wszystko w domu, niech wyjdzie odetchnąć, rozprostować nogi i odświeżyć myśli.

Bo, jeszcze jedna korzyść spaceru: myśli się podczas niego doskonale. Wszystkie projekty domowe, plany pracy, różne, męczące nas niejednokrotnie zagadnienia układają się i rozwikłują podczas godziny spaceru.

Ale, czy chodzić po mieście?

Lepiej nie; trudno sobie wyobrazić, aby można użyć ruchu i powietrza na najruchliwszych arteriach miejskich; ale nawet, gdy kto nie może wyjść za miasto, są boczne ulice, ciche i spokojne; dzielnice, któremi można przejść z jednej części miasta do drugiej, trochę nakładając drogi; parki, do których nie będzie zbyt daleko, bo Warszawa jest przecież bardzo mała. Zresztą w godzinę wydostać się można za miasto, a potem wrócić tramwajem. W mniejszych ośrodkach sprawa jest jeszcze łatwiejsza.

Do takiego spaceru powinniśmy mieć przede wszystkim pantofle lub półbuciki na niskich obcasach i dosyć grubej podeszwie, palto i kapelusz niezbyt obawiające się deszczu. Nie potrzeba myśleć specjalnie o stroju, bo w polu nikt nas nie widzi, a w tłumie ulicznym jeszcze mniej.

Najlepszy czas takiego „footingu“, to godzina,

bez przerwy, krokiem ani za szybkim, ani za powolnym. Tego rodzaju spacer jest też znakomitym środkiem na obchudzenie, lepszym nieraz od głodówki.

Nie należy też zwracać przesadnej uwagi na pogodę. Pewno, trudno spacerować w ulewę, lub zawieję, ale drobny deszcz, przymrozek, nie powinny nikogo odstraszać: człowiek nie jest przecież stworzony do życia wiecznie pod dachem, lub w cieplarni.

W tym roku, obok różnych redukcji, zredukowano nam i jesień, która jest wyjątkowo zimna. A zwykle to jedna z najpiękniejszych pór roku do spacerów. Powietrze rześwe, śliczne perspektywy złotych i czerwieniejących drzew w parkach, w człowieku świeże siły po letnim wypoczynku i tęsknota do przypomnienia sobie przestrzeni, którą się latem tak cieszyło — tylko chodzić! I niejedno można sobie przemyśleć, i od niejednego się oderwać i nabrać radości życia.

Ale choć w tym roku nie mamy takiej, jak w innych, pięknej, złotej jesieni, nie zrażajmy się tem. Obok innych sportów, a tembardziej, jeśli innych nie uprawiamy, dla zdrowia, dla sprężystości i energii, dla kuracji psychicznej, chodźmy na spacer. N. J.

BEZ SŁUŻĄCEJ

Wiadomość o niższe poborów uderzyła w panią Lusie, jak grom z jasnego nieba. Wypoczywając po trudach roku towarzysko-szkolnego gdzieś na krańcach Rzeczypospolitej, nad malowniczymi jeziorami, gromadziła siły na nową walkę z zataczającym coraz szersze kręgi kryzysem ekonomicznym, przetrwując w ciszy niebotycznych lasów nowe programy organizacyjne, które dopomogłyby jej do wzorowego prowadzenia domu.

Były tam rubryki oszczędnościowe, plany, uwzględniające redukcję wielu zbędnych przyzwyczajęń, było dużo dobrych chęci, ale było też i przeświadczenie, że to wszystko zamknąć można w budżecie, opracowanym na podstawie poborów, znizonych zaledwie o 15 proc.

Tymczasem mozolnie budowany gmach rozsypał się w proch wobec wypisanych czarno na białym hiobowych wieści, co nadeszły ostatnią pocztą z Warszawy. Najdoskonalsze nożyce chirurgiczne nie zdołałyby, bez dotkliwego bólu, obciąć z budżetu domowego tych wszystkich pozycji, które wobec zmniejszonego o 50 proc. uposażenia rodziny stały się w jednej chwili już nie brakiem zmysłu oszczędnościowego, ale pro prostu karygodnym luksusem.

Wszystkie rozsądne wywody, przywołany na pomoc hart ducha, który w ciężkich chwilach nie pozwala tracić panowania nad sobą, stajały, jak śnieg na wiosennym słońcu, a lęk przed jutrem, ciężar odpowiedzialności za to *jutro* rodziny, spadł na barki pani Lusi, odejmując jej zdolność myślowego opanowania sytuacji.

Ale że człowiek do wszystkiego się jakoś przyzwyczajają, więc i to uderzenie pięścią między oczy nie pozostawiło niezatartych wrażeń.

Noc pełna koszmarów, przebudzenie pod zna-

kiem podświadomego lęku, godziny biernego poddania się losowi, a wślad za nimi nowy poryw energii, świadomość, że poradzić sobie jednak trzeba i że się poradzi.

Pierwszą ofiarą, którą w planach najbliższej przyszłości poprowadzono na stos, była służąca.

Pani Lusie zdecydowała nieodwołalnie, że na służącą pozwolić sobie nie może, że musi tak, jak robi większa część pań zagranicą, wziąć cały ciężar gospodarstwa domowego na własne barki, oszczędzając w ten sposób poważną sumę, jaką pochłania pensja i utrzymanie pomocnicy domowej.

To, bądź co bądź, bohaterskie wyrzeczenie spłynęło balsamem na wzburzony system nerwowy pani Lusi. Spojrzała na sezon jesienno-zimowy jakoś jaśniej i pogodniej, zaczęła w myślach dzielić dzień roboczy na poszczególne kratki, wypełniając każdą doskonale rozplanowanymi zajęciami.

Wszystko to składało się na zharmonizowaną całość, dopóki nie wyszło poza krąg martwej litery. Wprowadzone w życie, zaczęło kuleć, potykając się o tysiączne trudności.

Dom, jak dom, wołał ciągle o nowe starania i względy, ale te zgóry przewidziane, od lat dobrze znajome potrzeby domu nie miały w sobie nic z niespodzianki. Natomiast gorzej zaczęło się dziać z istotami żyjącymi — z ludźmi, którzy przedstawili się naraz w zgoła nowym świetle, ot pro prostu dyplomowane zawalidrogi. Z początku chociaż najbliżsi, domownicy nie przysparzali trudności. Dzieci przywiozły ze sobą z letnich wywczasów duży zapas sił i zdrowia, były radosne, pogodne, łatwe do prowadzenia; mąż, zachwycony nowym systemem, wyżył się drobnymi, a dokuczliwymi w codziennym pożyciu, przywar: rozrzucania ubrania i drobiazgów, spóźniania się na obiad i t. p. Trudności z tej strony przysły dopiero z czasem, kiedy w mieście zapanowała jesienna grypa z modną w bieżącym sezonie komplikacją — bronchitem, i kiedy panu małżonkowi zaczęła dokuczać samodyscyplina, a bohaterska pani Lusie z dnia na dzień musiała podjąć się dodatkowych ról: pielegniarki i panny służącej.

Natomiast zawalidrogi z zewnątrz nie czekały momentu psychologicznego i rozpoczęły swą złośliwą akcję nieomal że w pierwszym dniu wprowadzenia w życie nowego systemu.

Pierwszym złośliwym chochlikiem okazała się mleczarka, która, pomimo solennych obietnic, zastukała do drzwi kuchennych właśnie w chwili, kiedy dzieci wypily już na śniadanie czystą herbatę i wychodziły do szkoły. Mleko, wzięte dzisiaj, przegotowano i pozostawiono na jutro, ale przy odgrzewaniu zwarte kożuchy rozplynęły się po powierzchni mleka tłustymi okami, a dzieci wypróżniły kubeczki tylko pod presją matki i to nieomal z obrzydzeniem.

Znajac zasady racjonalnego odżywiania, pani Lusie musiała zrezygnować z doskonałego i tańszego mleka, dostarczanego wprost do domu, chcąc uniknąć przechowywania go z dnia na dzień i odgrzewania, a musiała zdecydować się na drogie butelkowe, brane co rano w pobliskiej kooperatywie.

Zawody nie skończyły się na tem.

W opracowanym planie przewidziano stałych dostawców, którzy odsyłałiby zamówione produkty do domu, ale ani piekarz, ani rzeźnik o niczem podobnym nie słyszeli, nowych zwyczajai dla jednej *zwarjowanej* (w ich pojęciu) klientki wprowadzać nie myśla, kaprysów nie uwzględniają, a kiedy pani Lusie posłała kiedyś córeczki do swego stałego dostaw-

cy po sznycłówkę, wypisując jasno i wyraźnie na kartce, jakiego mięsa sobie życzy — dzieciom dano ochłapki, które z wielką biedą można było użyć na kotlety siekane.

Trudno zgrupować i omówić wszystkie przeszkody, jakie brak organizacji zewnętrznej piętrzył przed doskonale teoretycznie opracowaną organizacją wewnętrzną. Spotykało się je na każdym kroku, wyuczując podstawowy brak porozumienia pomiędzy dostawcą i konsumentem; poza tem zahaczało się stale o opieszałość i lekceważenie w dążeniu do stworzenia najdrobniejszych choćby udogodnień, na bierność, wypływającą z przeświadczenia, że dopóki ludzie żyją — jeść muszą i nic nie zdoła odstraszyć ich od źródeł handlu spożywczego.

Wzorowa organizacja tego handlu zagranicą, która uwzględnia przede wszystkim potrzeby drobnego konsumenta, obsługując go sumiennie zarówno na miejscu, jak w domu; prawo obywatelstwa, jakie mają gospodarstwa, obchodzące się bez służby domowej; różnorodność dań gotowych, lub wymagających tylko wykończenia; doskonale wyszkolone, sumienne i punktualne posługaczki; wreszcie wydajna pomoc z zewnątrz, jakiej zrzeszonym udzielają w każdej dziedzinie stowarzyszenia, czy związki pań domu — to w naszych warunkach tak zwane *marzenia ściętej głowy*.

Kiedy, zmęczona całodzienną pracą i ciągłymi drobnymi, niemniej jednak dokuczliwymi przeciwnościami, pani Lusja zasiadała wieczorem do rachunków i zestawiania planu na dzień najbliższy, budził się w niej nieraz żywiołowy bunt. Chciałaby móc wprowadzić podstawowe poprawki w dzienniku ustaw, który reguluje codzienne życie miernie uposażonych rodzin, założyć jakieś kobiece zrzeszenie, które ujęłoby w swoje ręce doskonale zorganizowane dostawy do domów, kuchnie dzielnicowe, odciążając tem samem pracę samowystarczalnej pani domu. Ale poczucie bezsilności wobec biernego poddania się niewygodzie, płynące z braku inicjatywy jednostek i ogółu kobiet, jakie w tylu dziedzinach zaobserwowała, odbierało jej zawsze siły do walki o lepsze jutro i wiarę w zwycięstwo.

Lepsze jutro? Dzisiaj widzi je tylko przez pryzmat ufności, że kiedyś przecie poprawią się warunki ekonomiczne, że będzie mogła wreszcie zerwać z *zagranicznym systemem*, który w obliczu *krajowych systemów* ma w sobie jednak posmak golgoty.

Wanda Dobrzańska.

ZIMOWANIE BANANÓW W MIESZKANIU

Cenną ozdobą trawników w ogrodach są powszechnie znane banany (*Musa Ensete*) o długich, wielkich liściach, niestety łatwo podlegających uszkodzeniom przez silne wiatry. Dlatego banany wyrastają najpiękniej, ustawione w miejscach osłoniętych.

Rozmnażają się łatwo z nasienia i już w pierwszym roku życia stanowią piękną ozdobę. Przechowywane w chłodnej szklarni, osiągają z roku na rok coraz większe rozmiary i większą wartość zdobniczą.

Ale właśnie to stopniowe rozrastanie się i konieczność przechowywania bananów przez zimę w szklarni stanowi jeden z motywów zbyt małego roz-

powszechnienia tej okazałej rośliny zdobniczej: właściciele ogródków mniejszych zazwyczaj nie posiadają szklarni, a znaczna część ogrodów dworskich buduje cieplarki możliwie małe, niskie, ciasne, mogące zaledwie pomieścić maceczne pelargonje i inne rośliny kwietnikowe, oraz zniszczone w pokojach rośliny dekoracyjne liściaste.

Dlatego sędzę, że dla licznych posiadaczy ogródków cenna będzie obserwacja, dokonana przez jednego z zagranicznych ogrodników miejskich, na temat przechowania bananu przez zimę w pomieszczeniu mieszkalnem. Dawne nasze dwory posiadają często wielkie pokoje, a domki nowoczesne zawierają nieraz modne dziś hole, lub widne, obszerne klatki schodowe.

Doświadczenie wywołane było tem, że duży banan, hodowany od szeregu lat w koszu drucianym o wielkich okach i przechowywany w szklarni, okazał się za wielki, aby go umieścić w szklarni. Zająłby tam za dużo miejsca, potrzebnego na inne cele. Ponieważ skutek tego był skazany na wyrzucenie na kompost, postanowiono tytułem próby umieścić go narazie w pokoju biurowym głównego ogrodnika. Pokój ten znajdował się w ratuszu miejskim i posiadał światło północno zachodnie.

W dniu 20-ym października wyjęto banan wraz z koszem z gruntu, gdzie puścił liczne korzenie w otaczającą go ziemię. Korzenie te poobcinano, zostawiając tylko bryłę, zamkniętą w obszernym koszu. Dla ładniejszego wyglądu owinięto całą bryłę płótnem workowem (jutą) i ustawiono na podstawie metalowej, zabezpieczając posadzkę od zniszczenia. Płótno chroniło też bryłę korzeniową od zbyt szybkiego wysychania.

Tak przygotowaną roślinę ustawiono w południowo zachodnim kącie pokoju, gdzie nie mógł do niej dotrzeć żaden promień słońca, ale przecie banan i tak był skazany na zagładę. Tymczasem do połowy stycznia *Musa* pięknie wyglądała, chociaż skutek wyjęcia z gruntu i zoperowania bryły korzeniowej straciła wkrótce dwa liście, lecz pozostało ich jeszcze dosyć. Dopiero w lutym znowu kilka liści pozołkło, wskutek czego wypadło je obciąć. Pomimo to jeszcze rośliny stanowią piękną ozdobę pokoju, gdyż młodsze liście nadal trzymały się dobrze.

W marcu rozpoczął się nowy przyrost: roślina wypuściła w krótkim czasie kilka nowych liści, które jednak w tak niekorzystnym miejscu, pozbawionem dostępu światła, nieco wybujały i długi czas pozostawały żółtawe. Były jednak dość silne i odporne, aby znieść w maju przewiezienie rośliny na plac miejski, gdzie pod gołym niebem szybko pozieleniały i wkrótce banan, zimowany w pokoju, nie różnił się wcale od innych, które zimę spędziły w szklarni. Na następną zimę powrócił na swoje poprzednie stanowisko.

Jak widać z tego, banan trzyma się dobrze w pokoju opalanym, a ponieważ olbrzymie jego liście, wznoszące się w pięknych łukach wysoko ku górze, stanowią istotną ozdobę obszernych pomieszczeń, nie mówiąc już o trawnikach lub kwietnikach — warto więc spróbować. Może i nam uda się taka sztuka.

Stan. Schönfeld.

Muzeum Rzemiosł i Sztuki Stosowanej w Warszawie

prowadzi wieczorowy **Kurs Haftu i Koronki** w programie dwuletnim
I rok: rysunek i kompozycja ornamentu w zastosowaniu do haftu i koronki.
II rok: technika haftu i koronki.

Zapisy przyjmuje i udziela informacji Kancelarja Muzeum: Chmielna 52. 609

BUDYNIE, SUFLETY, ZAPIEKANKI

W przeciętnej kuchni domowej wszelkiego rodzaju budynie, suflety i zapiekanki — w wielu miejscowościach na Kresach wschodnich zwane z niemiecka melszpazami — uważane są za leguminy i, jako takie, zaliczane do potraw zbytkowniejszych i poniekąd zbędnych.

Daniom tym smacznym, przeważnie łatwo strawnym, które z każdej prawie jarzyny, ryby, mięsa, ze wszelkich produktów mącznych i kasz wykonąć można — że już nie mówię o budyniach i sufletach owocowych — należy się poczesne miejsce właśnie w codziennych i to najskromniejszych nawet jadłospisach.

Przedewszystkiem na budyn można użyć rozmaite mięsiwa i ryby, ugotowane w zupie, co dzisiaj, kiedy lekarze często stosują dietę, wykluczającą smażone i pieczone mięsa i ryby, ma ogromne znaczenie. Mięso szczególnie, ugotowane, nawet przy częstej zmianie sosów, niesłychanie prędko się przejada i nuży jednostajnością smaku. Toż samo mięso, podane pod postacią nieco cięższego budyniu, nieco lżejszego sufletu, lub skromnej zapiekanki — wprowadza tak pożądaną rozmaitość w potrawach.

Znajdują też tu zastosowanie wszelkie resztki, pozostałe w niedostatecznej ilości, aby być podane na samodzielną potrawę. Mięso lub ryba w połączeniu z ryżem, drobną kaszką krakowską lub sago, dają wyborne masy budyniowe, przyczem zarówno ryż, jak i kaszka nie powinny być zupełnie dogotowane, aby mogły jeszcze wybrzęknąć przy gotowaniu w formie.

W przyrządzaniu mas na budynie i na suflety niema różnic zasadniczych. I jedne i drugie składają się z drobno usiekanych mięs, ryb lub jarzyn, połączonych zaprażką mączną na maśle, lub też rozmoczoną w mleku czy wodzie i dobrze odcisniętą bułeczką. Pozatem dobrze roztarte żółtka i na sztywną pianę ubite białka stanowią o udaniu się budyniu, czy sufletu.

Ilość użytych jaj gra też dużą rolę: im więcej ich użyjemy, tem wykwiłtniejszy smak będzie miała potrawa. Aromaty, odpowiednio użyte, również smaku dodają: koperek, majeranek, gałka muszkatołowa, pieprz (nie mówię tutaj o budyniach słodkich). Pieprzu używamy przeważnie białego, gdyż czarny tworzy drobne punkciki, które nadają budyniowi brudny wygląd. Czasem też stosujemy łagodną, tak zwaną różaną paprykę.

Na budyn robimy nieco cięższą, na suflet lżejszą masę, to jest zaprawiamy ją mniej gęsto, dodając odpowiednią ilość mleka, rosółu, lub śmietanki, i dajemy więcej jaj, a przynajmniej więcej piany z białek. Dalsza robota się różniczuje.

Budyn, zamknięty szczelnie w formie — przyczem grube wysmarowanie masłem i dobre wysypanie bułeczką są konieczne, aby można było potrawę bez uszkodzenia wyłożyć na półmisek — wstawiamy w naczynie z gotującą się wodą. Wody powinno być tyle, aby sięgała do połowy formy z budyniem: większa ilość grozi dostaniem się wody do formy; mniejsza nie zabezpiecza ciągle, równego gotowania się masy wewnątrz formy. To też przy większych budyniach, wymagających dłuższego czasu do dogotowania się, należy dolewać wody w miarę, jak wykipi. Nieduży budyn gotuje się nie mniej od pięciu kwadransów;

duże budynie, w paru i więcej litrowych formach, należy gotować około dwóch godzin.

Z budyni mięsnych najbardziej znane (poniekąd klasyczne) są budynie z wątróbki cielęcej i z mózdzku. Jednak z wołowiny i cielęciny, a nawet i wieprzowiny gotowanej, lub z resztek tych mięs pieczonych, według takich samych prawideł wykonane budynie są doskonałe. Specjalnie smaczne są budynie z płucek cielęcych, w smaku przypominające mózdzkowe. Do wykwiłtniejszych należą budynie z kury i ze zwierzyny, szczególnie wskazane po większych przyjęciach dla użytkowania pozostałych resztek.

Wszystkie budynie można podawać bądź tylko polane zrumienionem masłem (takie masło można do nich podać w sosjerce), bądź z odpowiedniami sosami, z których sos śmietanowy, koperkowy, pieczarkowy, pomidorowy i rakowy prawie do każdego budyniu są odpowiednie, sos grzybowy zaś raczej do budyniów z kasz powinien być podawany.

Specjalną grupę stanowią budynie rybne, grające w najwykwintniejszej nawet kuchni olbrzymią rolę. Niektóre z nich, noszące francuskie nazwy: matelotte, turban i t. p., nadziewane pieczarkami, szyszkami rakowemi, gęsto naszpikowane płatkami truflii, stanowią prawdziwy przedmiot zbytku. Lecz nawet najzwyczajniejszy budyn z ryby surowej lub gotowanej, zrobiony na podstawie moczony bułeczki, czy mącznej zaprawki, z dostateczną ilością jaj — przyczem doskonale ubita piana z białek jest podstawą dobroci budyniu — może zadowolnić najwybredniejszych smakoszków. Te same sosy, co do budyniów mięsnych, stosujemy i do budyniów rybnych, przyczem oczywiście muszą one być robione na rosole rybnym — bądź pozostałym po ugotowaniu ryby, bądź też, jeśli używamy ryby surowej, ugotowanym z głów, ości i ogonów tej ryby.

Z budyni jarzynowych zdobyły już sobie prawo obywatelstwa: kapuściany i kalafjorowy. Powoli zaczyna wchodzić w użycie budyn ze szpinaku, który można ogromnie urozmaicić, dodając do masy drobno pokrajanej szynki, parówek, resztek cielęciny, wieprzowiny, kury lub zwierzyny. Jednak każdą niemal jarzynę można użyć na budyn. Drobniejsze szparagi, zielona i szparagowa fasolka, marchewka, denka karczochów, pomidory, bulwa włoska, skorzonera — wszystko to daje wyborny materiał na budynie. Do budyniów jarzynowych podajemy przeważnie sos biały, czy masło topione — zrumienione, lub nie, zależnie od gustu.

Tyle — o budyniach.

Suflety, ułożone w ładną kopułę, zapiekamy na półmiskach metalowych, czy z ogniotrwałej porcelany, lub w ogniotrwałych foremkach. W każdym razie podaje się je na stół w tem samem naczyniu, w którym się piekły, gdyż poruszone, łatwo opadają. Piecze się je w umiarkowanie gorącym piecu i niezbyt długo — od dwudziestu do czterdziestu minut, w zależności od rozmiaru i od składu masy. Podaje się suflety natychmiast po wyjęciu z pieca. Należy je wstawić

Tylko to nieuchwytnie coś — ta oznaka szczególnej pielęgnacji — przynosi Pani powodzenie. Powinna Pani dbać o swą twarz, cerę — lecz przedewszystkiem — pielęgnować swe włosy. Lśniący ich połysk i wonna świeżość nadają Pani właśnie ten urok, który działa. Każda torebka szamponu CZARNO-GŁÓWKA-EXTRA zawiera nowy preparat: proszek „POLYSK DLA WŁOSÓW“, który obdarzy włosy Pani zdrowiem, świeżością i lśniącym połyskiem.

w piec z takim wyliczeniem, aby raczej biesiadnicy na nie trochę zaczekali, niż żeby one na chwilę podania czekać miały.

Posypanie ostrym tartym serem, lub tartą bułeczką, zmieszaną z takim serem, nadaje wiele smaku sufletom, formuje na nich ładną, rumianą skorupkę, jednak nie do wszystkich sufletów może być stosowane. Sosów zwykle do sufletów się nie podaje, lecz masło topione, lub masło surowe, czy serdelowe w kulkach i cienkich płatkach. Do sufletów mięsnych i rybnych podajemy też cytrynę, krajaną w podłużne ćwiartki.

Najpospolitszą formą zużytkowania gotowanego mięsa, ryby, lub jarzyn jest zapiekanka, na którą przygotowujemy masę z mniejszą ilością jaj, czasem nawet bez jaj, a tylko z tartymi kartoflami, ryżem, kaszką, sago i t. p. Najbardziej znaną zapiekanką jest forszmak ze śledzia samego, lub ze śledzia z jakimkolwiek mięsiwem. Każdą zapiekankę, ułożoną w ogniotrwałym naczyniu, można pokryć sosem beszamelowym i z nim zapiec.

Zapiekanki podaje się wraz z naczyniem, w którym się upiekły. Jednak nie przedstawiają one takiego niebezpieczeństwa opadnięcia, jak suflety, gdyż są mniej lekkie i delikatne. Do zapiekanek często podaje się kwaśną śmietaną surową, lub też zagotowaną z łyżką masła. Doskonale uzupełnienie tej oszczędnościowej potrawy stanowią przysmażane kartofelki.

Pani Elżbieta.

do większego rondla z wrzącą wodą i gotować godzinę i kwadrans od chwili zagotowania. Wyłożyć na półmisek i polać łyżką dobrze zrumienionego masła.

Pięć małych, lub trzy bardzo duże jabłka pokrajać na cząstki, dzieląc, jak pomarańczę. Skórki nie zdejmować. Gniazda nasienne i ziarenka odrzucić. Włożyć do niedużego rondelka, posypać cukrem (trzy łyżki), włożyć kawałek cynamonu, lub parę goździków. Zalać wodą do połowy wysokości. Zakryć pokrywką. Dusić wolno, aż jabłka zupełnie się rozgotują, a plyn wyparuje. Podawać gorące w tem samym naczyniu.

Pani Elżbieta.

PRZEPISY GOSPODARSKIE

SMAŻONA CEBULA NA JARZYNE.

Dużą cebulę o łagodnym smaku (hiszpańską lub naszą zwykłą cukrówkę) pokrajać w plastry, grube na pół centymetra. Każdy plaster podzielić na krążki (bardzo łatwo sama się rozpadnie). Utrzeć żółtko z trzema łyżkami mąki, łyżeczką od kawy soli, rozprowadzić mlekiem lub wodą do gęstości świeżej śmietany. Wsypać na koniec noża proszku do pieczenia (tylko krajowego wyrobu!). Nakoniec wymieszać z ciastem ubite na sztywną pianę białka. Maczać krążki cebuli w tem cieście i smażyć na rozpalonym szmalcu lub fryturze. Gdy się wszystkie ładnie zrumienią, ułożyć w piramidkę na talerzu, pokrytym serwetką. Można taką cebulę podać, jako dodatek do mięsa, na przykład do kotletów baranich, rumsztyka i t. p., ale i jako danie samodzielne wybornie smakuje.

LESZCZ PIECZONY.

Oczyszczonego, jak zwykle, leszcza nasolić zewnątrz i wewnątrz na godzin parę. Na brytfannę położyć nakrzyż parę kawałków łuczywa. Na to położyć leszcza, posypanego obficie pokrajaną w płatki cebulą i rozłożonemi kawałkami masła. Piec w gorącym piecu. Gdy się ładnie z jednej strony zrumieni, ostrożnie przewrócić na drugą, znowu posypać cebulą z kawałkami masła i piec dalej, tak długo, aż dobrze od ości odstanie. Jeżeli piec dobrze piecze, wystarcza jednorazowe pieczenie. Można też takiego leszcza nadziać wewnątrz tartą bułeczką z masłem, jajkiem, koperkiem i pietruszką, jak się nadziewa kureczka. Do takiego leszcza podaje się salate głowiastą ze śmietaną, lub jakąkolwiek salate zimową z oliwą i cytryną.

OBIADY DLA PRACUJĄCEJ INTELIGENCJI

OBIAD JARSKI.

- Fasolówka z grzankami.*
- Budyń z kapusty.*
- Jabłka duszone.*

Czterdzieści deka białej fasoli namoczyć na dwadzieścia cztery godziny w zimnej wodzie. Nastawić w czystej, miękkiej wodzie (jeśli woda twarda, dodać na koniec noża sody oczyszczonej). Wody powinno być około dwóch i pół litrów. Gotować wolno, nie soląc, aż się fasola zupełnie rozgotuje. Przetrzeć zupełną przez durszlak lub sito, zaprawić łyżką masła, zasmażonego z niedużą łyżką mąki, osolić do smaku, zagotować z zasmażką. Kto lubi, może masło zasmażyć z drobno pokrajaną cebulką; mąkę, rozbitą paru łyżkami wody, wlać do zupy oddzielnie, zupełnie zagotować i dopiero w ostatniej chwili wlać masło z cebulką.

Cwierć kilo białego, pszennego chleba pokrajać w drobną kostkę, ułożyć na patelni, posypać jakimś ostrym, tartym serem (może być nawet zwykły, zielony serek ziołowy) i wstawić do pieca dla zrumienienia. Parę razy przemieszać, aby wszystkie grzanki równo się zrumieniły. Nalewając zupełną, kłaść grzanki wprost do talerza.

Główkę kapusty (wagi około półtora kilo) drobno usiekać, wrzucić na osolony wrzątek, gotować dziesięć minut, odcedzić na sicie i ostudzić. łyżkę masła zasmażyć z dwiema łyżkami mąki, rozprowadzić szklanką mleka lub wody, zagotować. Do tej masy dodać ugotowaną kapustę, trzy żółtka, utrzeć dobrze razem, osolić do smaku, odrobinę popieprzyć. Dodać wkońcu białka, ubite na sztywną pianę, wymieszać ostrożnie. Przełożyć do formy budyniowej lub do rondla ze szczelną pokrywą. Jedno lub drugie powinno być dobrze wysmarowane masłem i wysypane bułeczką. Szczelnie zamknięty rondel lub formę wstawić

Dowiadujemy się, że w najbliższym czasie zostanie otwarta „ACADEMIA ESTHETICA“ Pierwsza Lecznica chirurgiczno-kosmetyczna w Polsce. Warszawa ul. Kredytowa 9.

Doniosłe znaczenie społeczne powstającej lecznicy przez umożliwienie wszystkim warstwom społeczeństwa, zamożnym i niezamożnym poddawania się operacjom kosmetycznym w kraju. Oszczędzenie kosztów wyjazdu do Paryża, Wiednia, Berlina celem konsultowania zagranicznych specjalistów. Kierownikiem Lecznicy będzie lekarz specjalista chirurg-kosmetyk, który trzy lata specjalizował się w Paryżu, w Uniwersyteckich klinikach. Zadaniem Lecznicy jest współpraca z Gabinetami kosmetycznymi, które chirurgicznych zabiegów wykonywać nie mogą i którym w pierwszym rzędzie nowa Lecznica służyć będzie wskazówkami i radami w miarę potrzeby.

Lecznica mieści się w luksusowym lokalu. Urządzenia nowoczesne na najwyższym poziomie europejskim zadowolą najbardziej wymagania.

PIECZEN HUZARSKA.

Gruby kawał zrazówki (wagi nie mniej, niż kilo) zbić mocno, obrumienić w rondlu w łyżce masła lub szmalcu. Dodać pokrajaną cebulę, marchew, grzybek suszony, kilka ziarn pieprzu i listek. Podlać wodą i dusić wolno, aż zmięknie. Tymczasem przyrządzić farsz następujący. Dwie cebule usiekać i uduścić w masle, dodać usiekaną serdelę lub pół śledzia-ulika; smażyć dalej, aż się zupełnie rozsmażą. Wsypać dobrą garść utartego na tarce czarnego chleba, zasmażyć razem. Wlać rosółu lub wody, aby się masa trzymała. Pieczeń pokrajać na plastry tak, aby z jednej strony się trzymały. Przekładać co drugi plaster chlebową masą. Dusić jeszcze z kwadrans. Wyjąć na półmisek, rozkrajając tak, aby między plastrami był zawsze farsz. Do sosu dodać łyżkę śmietany i łyżkę octu. Zagotować i połać pieczeń na półmisku.

PASZTET Z KURCZĘCIA (Chicken-Pie).

Ugotować duże, mięsiste kureczę i kawałek cielęciny, lub białej wieprzowiny. Trzy jaja, ugotowane na twardo, pokrajać na ćwiartki lub plasterki. Przygotować kilkanaście cienkich plasterków przerastającej szynki lub tłustego, wędzonego boczk. Kurczę podzielić na nieduże części, usuwając wszystkie większe kości. Cielęcinę lub wieprzowinę pokrajać w plasterki. Tortownicę wyłożyć ciastem kruchem lub siekanem, których przepisy były kilkakrotnie podawane w „Bluszczu“. Położyć rząd wędliny, rząd mięsa, rząd jaj pomiędzy niemi kładąc małe kawałki masła, znowu wędlinę, mięso, jaja, posypując wszystko zieloną pietruszką. Jeżeli są pieczarki, dobrze jest kłaść pomiędzy kawałki kurczęcia drobno pokrajane pieczarki, podsmażone w łyżce masła. Ostatni rząd powinien być wędliny. Pokryć pasztet ciastem, posmarować wierzch żółtkiem. Wstawić na trzy kwadrans w średnio gorący piec. Gdy się ciasto ładnie zrumieni, zrobić mały otworek w skorupie i wlać parę łyżek rosółu, w którym się gotowało kurczę. Na reszcie rosółu zrobić sos biały, śmietanowy z zieloną pietruszką, lub też sos pieczarkowy i podać oddzielnie w sosjerce.

JAJA W BESZAMELU.

Osiem do dziesięciu jaj ugotować na twardo lub też zrobić tyleż jaj poszetowych, wypuszczając je ostrożnie ze skorupki na osolony wrzątek z octem. Na ogniotrwałym półmisku lub w takiejże foremce, wysmarowanej masłem, położyć rząd pokrajanę w paski, tłustej szynki. Na niej ułożyć jaja. Z dużej łyżki masła, takiejże łyżki mąki, trzech do czterech szklanek mleka lub śmietanki zrobić gęsty beszamel. Wsypać weń garść ostrego, tartego sera, wymieszać. Pokryć tym beszamelem jaja, posypać tartą bułeczką, zmieszaną po polowie z ostrym, tartym serem. Wstawić w dobrze gorący piec dla zrumienienia. Podawać wprost z pieca, aby nie opadło.

GALARETA JABŁECZNA.

Na galaretę należy brać jabłka kwaskowe, niezbyt dojrzałe i zawsze jednego gatunku. Poza tem można użyć na galaretę wszelki gorszy owoc, nienadający się do sprzedaży, ani do użycia do stołu: drobniejszy, niekształtny i t. p.

Przed użyciem należy dokładnie usunąć części nadgniłe, pobite lub uszkodzone przez robaki. Jabłka oczyszczone z ziarenek i ogonków, ale z pozostawioną na nich skórka, ułożyć w garnku, zalać wodą żeby objęło, i rozgotować zupełnie. Wylać w worek płócienny, powiesić nad wagą lub miską i dać ściec, zupełnie nie wyciskając miąższu. Sok zmierzyć. Na każdą szklankę soku wziąć szklankę cukru. Sok wlać do miedniczki, zmierzyć patyczkiem, zakarbować nożem na patyczku miejsce, dokąd sok dochodzi. Wsypać cukier, rozmieszać i smażyć prędko na silnym ogniu, aż płynu zostanie tyle, co było przed wsypaniem cukru. Zlewać natychmiast w dobrze wygrzane słoiki. Po zupełnem wystudzeniu zawiązywać słoiki przezroczystym „polofanem“ (wyrób krajowy).

POWIDŁA SLIWKOWE.

Sliwki wydrylować, kilkanaście pestek rozłup, ziarnka przechować. Na cztery kilo sliwek wziąć kilo i ćwierć cukru, ugotować syrop, biorąc na tę ilość od trzech do czterech szklanek wody. Sliwki wraz ze skórka przepuścić przez maszynkę do mięsa, włożyć do syropu i gotować, często mieszając od dna. Gdy powidła zaczną gęstnieć, nie przestawać mieszać ani na chwilę, aby się nie przypaliły. Kiedy masa stanie się przezroczysta, włożyć pogniecione drobno ziarnka, raz jeden tylko z niemi zagotować i złożyć powidła do kamiennego słoja. Jeśli mamy ciepły piec, wsunąć doń powidła z garnkiem na całą noc, aby się na wierzchu uformowała skorupka. Tak usmażone powidła ścinają się, jak ser, i przechowują doskonale.

BORÓWKI Z GRUSZKAMI.

Dwa kilo borówek sparzyć podwakroć wrzątkiem, odlać na sito. Kilo obranych gruszek pokrajać na ćwiartki (jeśli duże, to nawet na osiem lub dziesięć części). Kilo cukru zagotować na syrop z dwiema szklankami wody. Pół kilo słodkiej marchwi-karotki utrzeć na grubej tarce do buraków. Gruszki i marchew włożyć do syropu i smażyć wolno, aż gruszki zmiękną i staną się zupełnie przezroczyste. Wtedy dodać borówki i smażyć razem kwadrans od chwili zagotowania. Marchew zupełnie zniknie w masie. Borówki gorące złożyć do słoja kamiennego lub szklanego (szklany powinien być dobrze ogrzany). Tak przyrządzone borówki mają śliczny kolor i, pomimo niedużej ilości użytego cukru, są bardzo słodkie.

GALARETA Z JABŁEK — BIAŁA.

Jabłka-antonówki pokrajać na ćwiartki, nie obierając, komory nasienne i ziarnka odrzucić. Jabłka zalać wodą, aby objęło. Rozgotować zupełnie. Przepuścić płyn przez płótno, nie wyciskając. Odmierzyć płyn. Na każdą szklankę płynu brać szklankę cukru. Wlać do miedniczki. Smażyć na silnym ogniu; próbować po kropli na zimnym talerzu. Gdy się kropla nie rozlewa — galareta gotowa. Zlewać gorącą w dobrze wygrzane, małe słoiki. Nazajutrz zawiązać „polofanem“. *Pani Elżbieta.*

P. Emski. — Artykuł nie nadaje się do naszego pisma. Repokis do zwrotu (po nadesłaniu znaczków na przesyłkę pocztową).

WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. kwartalnie — 15 zł., rocznie — 60 zł.

Do innych krajów miesięcznie — 6 zł. 40 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9. — Tel. 239-40.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu“ — Warszawa, Plac Zamkowy 9.

Konto P. K. O. — Warszawa Nr. 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „Bluszcz“. Sp. z ogr. odp.

Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Warszawa, Plac Zamkowy 9, tel. 239-40.

Ekspedycja: ul. Górnośląska 19, tel. 9-64-7.

Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „Bluszcz“, Rymarska 8, tel. 11-74-18.



Jeszcze doskonalsza pielęgnacja włosów!

Wraz z naszym szamponem CZARNOGŁÓWKA-EXTRA dajemy Pani do użytku inny cudowny środek: PROSZEK DLA POŁYSKU WŁOSÓW! Jeżeli Pani o każdej porze chce mieć pewność posiadania starannie pielęgnowanych i świeżych włosów, to proszę je myć regularnie co tydzień szamponem CZARNOGŁÓWKA-EXTRA i płukać potem PROSZKIEM DLA POŁYSKU WŁOSÓW, który jest bezpłatnie dopakowany do każdej torebki. CZARNOGŁÓWKA-EXTRA jest jedynym szamponem nadającym połysk włosom — zaleta, czyniąca go wręcz niezbędnym! Cena 60 groszy.

Jednakże do szybkiego odświeżenia włosów zawsze tylko: SHAMPOON CZARNOGŁÓWKA-SUCHY — w ośmiokątnym pudełku. (2 gatunki: neutralny i specjalny dla ciemnych włosów).

Czarnogłówka-Extra

SZAMPON Z POŁYSKIEM DLA WŁOSÓW

Wszędzie do nabycia, gdzie niema, wprost:
APTEKARZ DRANCZ I SKA., BIELSKO. WYRÓB KRAJOWY.

564

Jeśli Pani ma dzieci

i musi pracować poza domem, konieczne jest zapewnienie sobie stałej pomocy we wszystkich sprawach pielęgnacji i wychowania — w postaci prenumeraty

D W U T Y G O D N I K A

DZIECKO I MATKA

OKAZOWE NUMERY WYSYŁAMY PO OTRZYMANIU ZNACZKÓW POCZTOWYCH ZA 25 GROSZY.

Prenumerata mies. 1 zł. 40 gr.

Konto P.K.O. Nr. 12.900.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA — WARSZAWA
PLAC ZAMKOWY 9.

DOBRA KSIĄŻKA JEST NAJMILSZYM
UROZMAIACENIEM
DŁUGIEGO JESIENNEGO I ZIMOWEGO WIECZORU.

PRZYGOTOWALIŚMY DLA NASZYCH CZYTELNICZEK

8 TOMÓW

INTERESUJĄCYCH POWIEŚCI

ZA 6 ZŁOTYCH

A MIANOWICIE:

ANNIE VIVANTI

NAJA TRIPUDIANS

(ZMIJA EGIPSKA)

C. CHIVAS-BARON

TRZY KOBIETY ANNAMICKIE

COLETTE YVER

RĄBEK ZASŁONY

(2 tomy)

DOUGLAS GOLDRING

POŁAWIACZ DUSZ

(2 tomy)

HUGH WALPOLE

JAREMKA I HAMLET

(2 tomy)

NAKLADEM TOW. WYD. „BLUSZCZ”

DO NABYCIA — WARSZAWA, PL. ZAMKOWY 9, KONTO P.K.O. 13.555.

MODY I ROBOTY



670

671

670. Spódnica plisowana i krótki zakieciak futrzany.

671. Spódnica lekko kloszowa i zakieciak z szarych baranków.



672

673

674

675

672. Suknia z tweedu, wykończona sukniem.
 673. Sukienka z moalu deseniowego z gładkimi plisami.
 674. Ubranko z flory, przybrane kwadratami aplikacji.
 675. Suknia jedwabna, przybrana żorżetą.

634. Suknia z wełny w kratkę szaro-niebieską ze spódniczką w głębokie fałdy.

635. Suknia z granatowego crêpe-satin z białą kamizelką i paskiem granatowo-białym.

636. Suknia z zielonego meteoru w czarno-białe pastylki z białym kołnierzykiem.

637. Palto z przerabianej wełny w dwóch cieniach.

638. Palto z czarnego aksamitu z kołnierzem i mankietami z płowego futra.



634

637

638



639. Komplet dla młodej pani-
ki. Spódniczka z gładkiej wełny,
bluzka z płótna jedwabnego, ka-
mizelka z trykotu wełnianego.
640. Komplet dla młodej pani-
ki. Spódniczka z grubego sukna, bluz-
ka z białego trykotu wełnianego
z kołnierzykiem. Kamizelka try-
kotowa.
641. Kostjum z granatowej wełny
z szarym barankiem — bluzka
biała jedwabna.
642. Kostjum w dwóch bronz-
owych cieniach z długą bluzką
z białego trykotu. Kołnierzyk
z karakulów brązowych.



KOSTJUMY SKROMNE I STROJNIEJSZE

Powodzenie kostjumów, tych klasycznych, krawieckich, składających się z marynarki i możliwie gładkiej spódniczki, zapewnione jest na czas dłuższy. Można by je właściwie nosić przez całą zimę. W biurze wyglądałyby niewątpliwie eleganciej, niż suknia ze sweaterkiem, miałyby swoisty szyk, bardzo business like. Że jednak taki kostjum od krawca to rzecz kosztowna i że niewiadomo, czy przyszłej wiosny można będzie sobie na większy wydatek pozwolić, lepiej jest udzielić kostjumowi na zimowe miesiące urlopu. Niech sobie powisi w szafie. W zimie moli niema. Z mody też nie wyjdzie. Krawieckie kostjумы mają tę dobrą stronę, że prawie nie wychodzą z mody. Najwyżej jakaś drobna zmiana w długości spódniczki, na którą potrafi poradzić nawet domowa krawcowa.

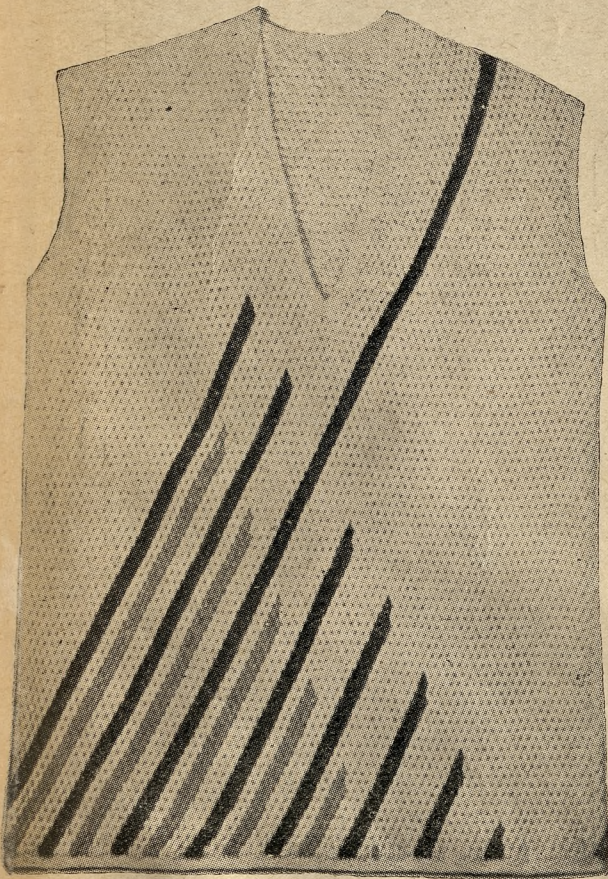
Natomiast niewymagające krawieckiego kroju komplety fantazyjne możemy nosić bez żalu zimą i latem. Spódniczka obcisła i równa prawie do kolan, niżej rozchodzące się fałdy, plisowania soleil, lub kłosze. Zawsze bardzo dyskretne. Zamiast żakietu — bolero lub „cordigan“, zapięty z przodu na równy rząd guziczków. Ten rodzaj kostjumu posiada niezliczoną ilość zalet natury zarówno estetycznej, jak i praktycznej. Pozwala pani, przy odrobinie pomysłowości, na sprawianie wrażenia osoby, coraz to inaczej ubranej.

Z pikową kamizelką lub bluzeczką chemisier z surowego jedwabiu, czy płótna w paski — całość sportowa, spacerowa, biurowa — very smart and correct. Wypracowane cacko z batystu linon, żorżety, czy jedwabnego woalu, zmieni komplet ranny na toaletę popołudniową, wizytową. Bluzka z crêpe de chine'u w kolorze identycznym, stworzy harmonję ciemną, dystyngowaną, poważną. Jasna, czy jaskrawa, rzuci wesołą, barwną plamę i odmieni całość do nie poznania.

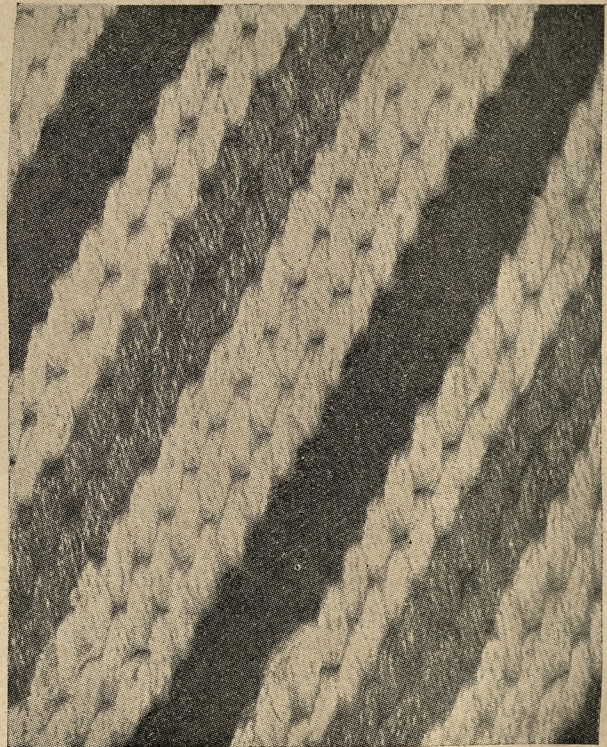
Wieczorem, idąc do teatru, możemy na kostjumową spódniczkę z mięsistego jedwabiu, lub gładkiej, matowej wlny, włożyć jedną z tych najmodniejszych bluzeczek z baskinkami, przypominającą modne obecnie czasy naszych prababek. Do stylu uczeszymy się gładziutko, zwiłając pukle odrastających włosów za uszami i nisko na karku. Wartoby wydobyć z ukrycia staroświeckie brosze z granatów, lub turkusów, z drobnymi perelkami, medaliki z kornoliny, noszone na wąskich aksamitkach, wielkie, ciężkie zausznice, w których bywa naogół bardzo do twarzy. Staroświecczyzna jest modna! Korzystajmy. Prawie każda z nas posiada takie skarby, które dotąd gardziła „jako starzyzną“.

Well.

JUMPER POSZYWANY NA SIATCE



rys. 1.



rys. 2.

Jumper (rys. 1), którego wzór podajemy, zrobiony jest z siatki (filet) i poszyty wełną lub włóczką. Tło zaszywamy jasnym kolorem np. piaskowym w pasy w dowolnych kolorach.

Sposób wykonania widzimy na rys. 2.

K O M I N E K

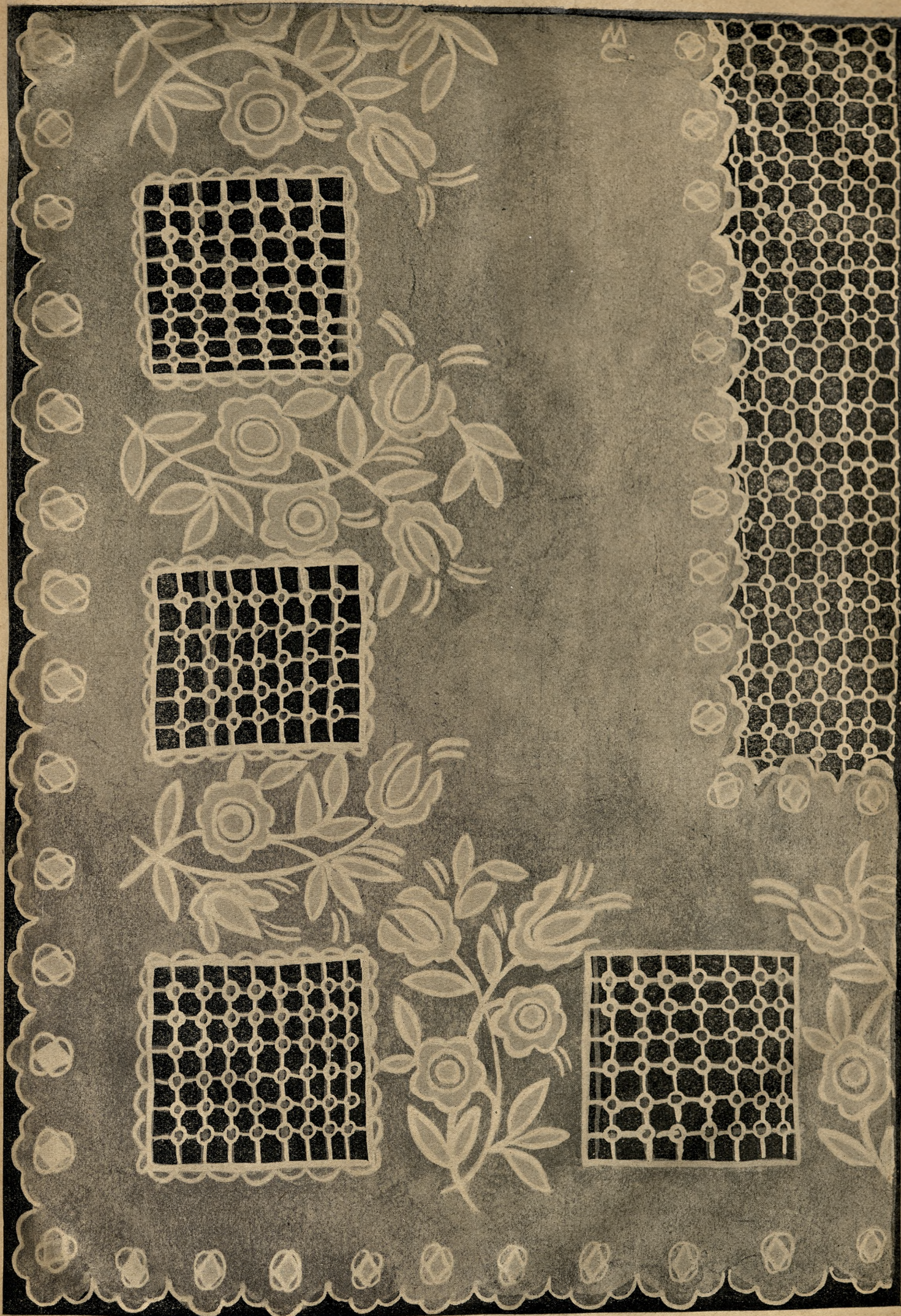
Zjawia się on wprawdzie czasem i w naszych nowoczesnych wnętrzach, jak rzadka i cenna gwiazda na szarem niebie życia codziennego. Ale — niestety — jak uczy praktyka, gwiazda kapryśna, bo: albo dymi, albo wykazuje uparty sprzeciw, gdy nadejdzie chwila rozniecania ognia, albo, co gorsze, lubi płatać złośliwe figle, wzniecając pożar z powodu wadliwej konstrukcji.

Jest to prawdopodobnie zemsta za brak zainteresowania, jakim darzymy wiernego przyjaciela, w ciepłe i blasku którego ustawiały, z pokolenia w pokolenia, kołowrotki i krosna nasze antenatki. *W.*

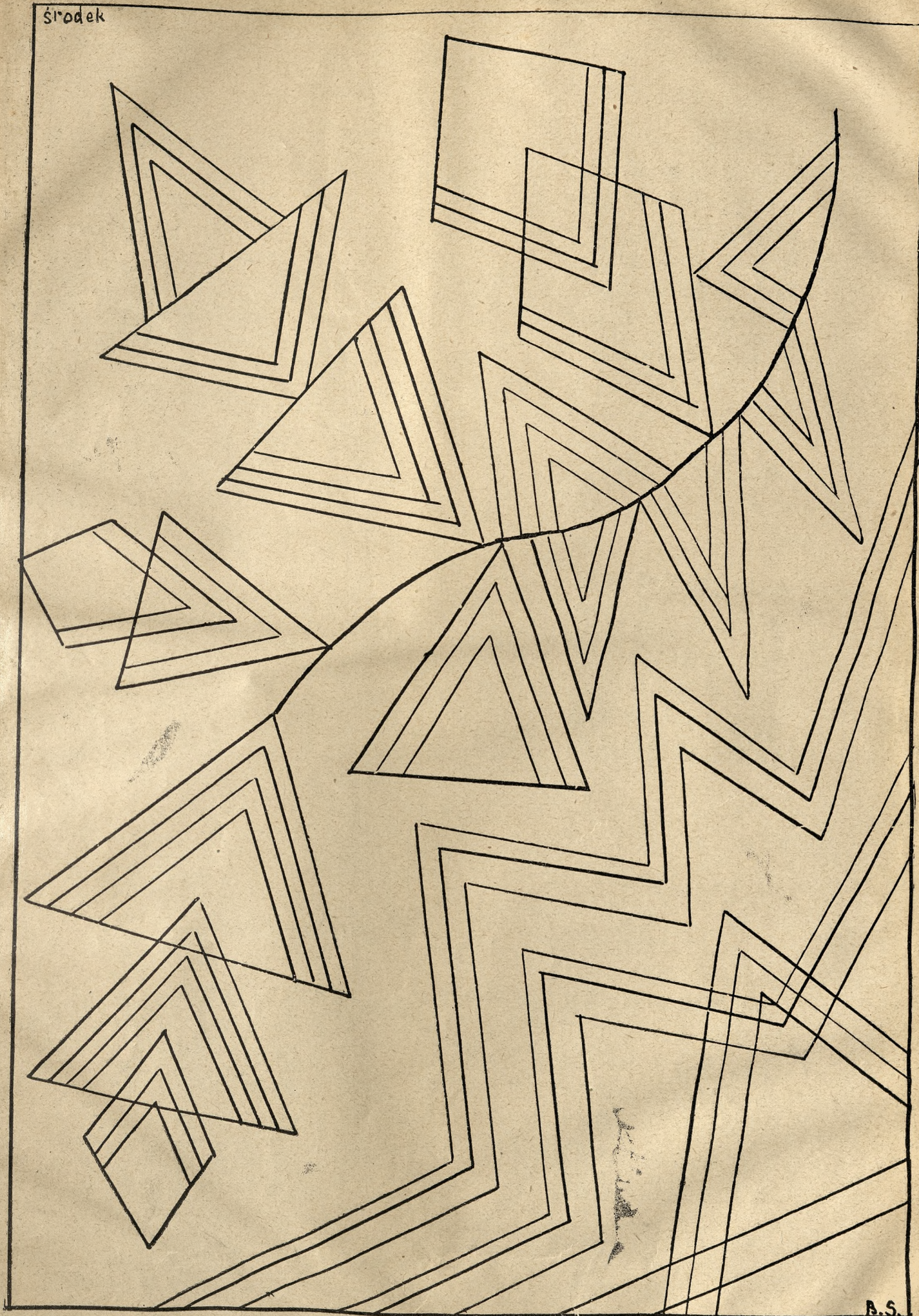


Kominek — tak rzadko w naszych mieszkaniach spotykany — jest punktem koncentracyjnym życia rodzin angielskich. W każdym niemal środowisku, od najskromniejszych do wykwintnych, gromadzą się w przedwieczornych i wieczornych godzinach domownicy i goście dookoła wesoło trzaskającego ognia, gawędząc, spędzając czas na czytaniu, czy ręcznej robocie. Popołudniowa herbata; wesołe zabawy dziecięce; korespondencja pani; wypoczynek strudzonego całodzienną pracą pana; partja bridge'a; książki i pisma, a nawet rzadki w dzisiejszych czasach gość; godzina poświęcona samotnej zadumie, czy marzeniu — wszystko to, co człowiek ma w codziennym życiu najmilszego, przyciąga do siebie magnetycznie wesoły, przyjazny trzask płonących polan, światło i ciepło kominka.





środek



B.S.

687. Czwarta część poduszki, wyszytej ścięciem pocztowym w jaskrawych kolorach.



677

678

676

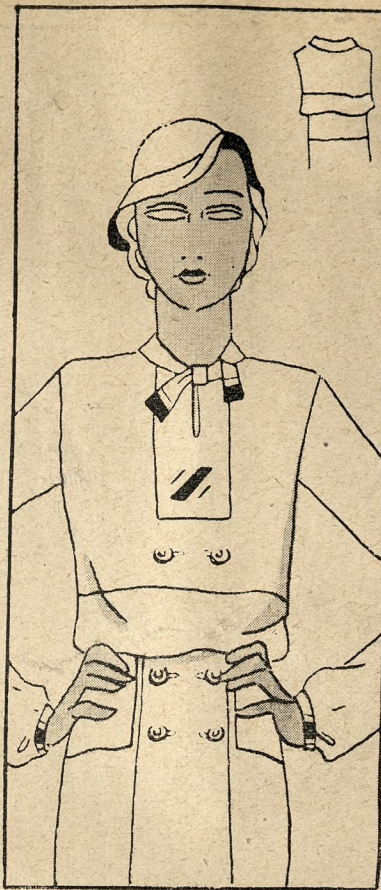
676. Suknia z czarnego jedwabiu; wykończona blado-różową żorżetą.

677. Suknia z welny deseniowej — kołnierzyk pikowy.

678. Suknia z gładkiej welny z kamizelką do cieniu.



679



680



681

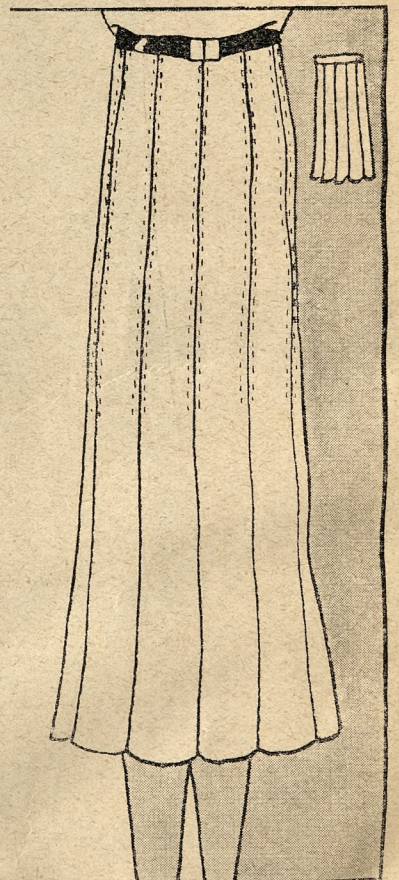
679-681. Trzy skromne sukienki z lekkiej wełny.



682



683

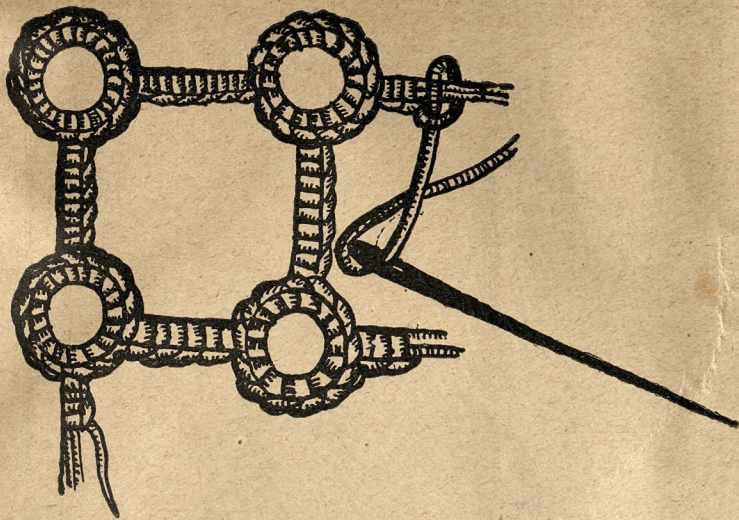


684

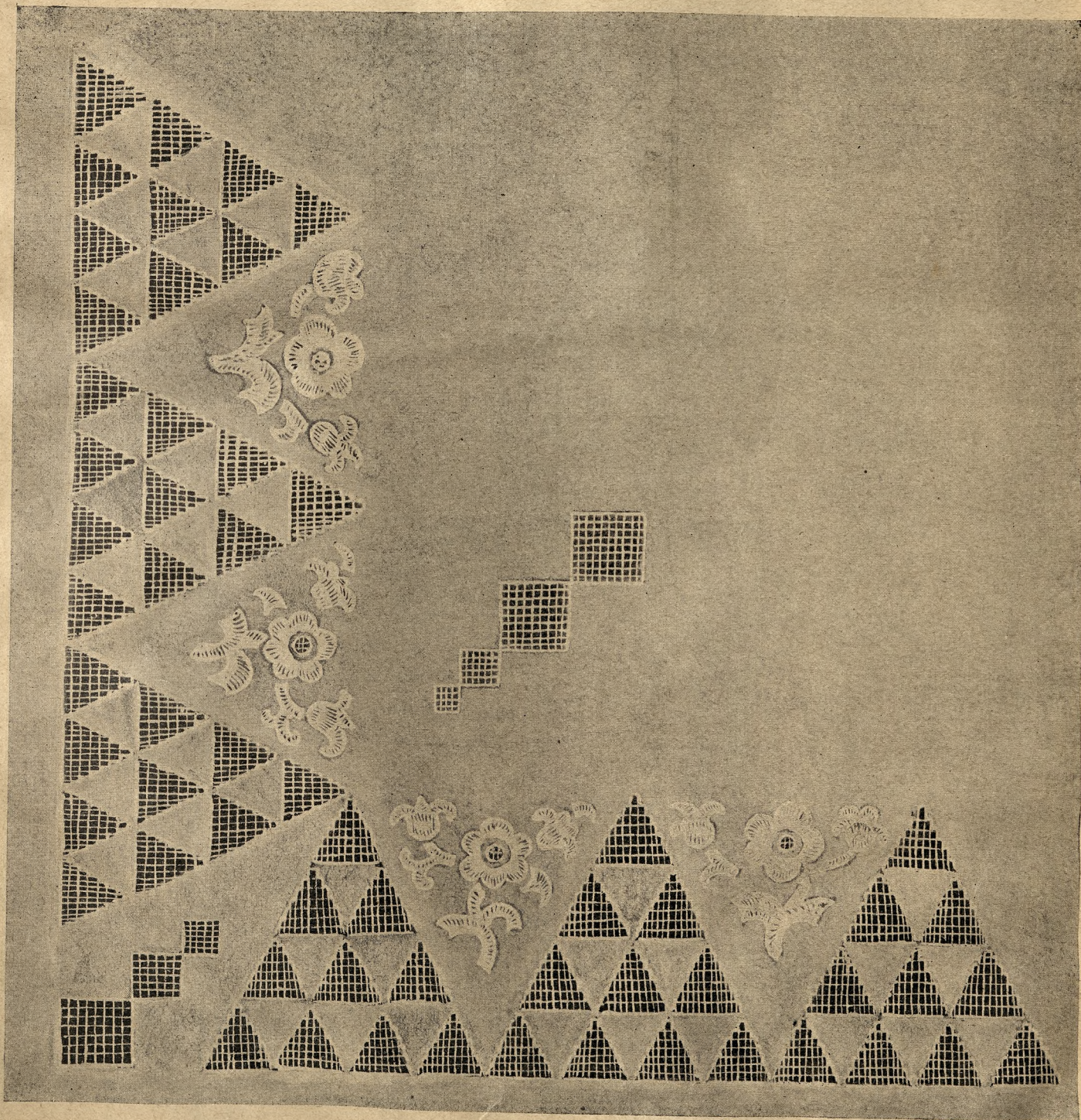
682-684. Modne fasony spódnic do bluzek i żakietków.



685. Szlafrok z flory, objęty tasiemką jedwabną i haftowany
wełną podług podanego wzoru: środek kwiatu buraczkowy, dal-
sze płatki cytrynowe (banana) do cieniu; liście ciemno-szafirowe.



Na str. 7-ej podajemy wzór serwety z opalu lub marki-
zety, ozdobionej aplikacją i ażurowymi pajęczkami.
Serweta wykończona jest dzierganiem. Wzór naturalnej
wielkości znajdują Czytelniczki na arkuszu wzorów, a
obok na lewo podaliśmy sposób wykonania pajęczków.



686. Wzór do ozdobienia bielizny pościelowej — krateczka wyciągana, jak w hafcie Toledo, i haft atlaskiem. Wielkość naturalna na arkuszu wzorów.